Nr. 45. Lwów, Niedziela dnia 7. Listopada 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLV.

PENSJONATY ŻEŃSKIE.

III. Nie możemy pojąć tego w żaden sposób, zkąd się bierze w niektórych sferach społeczeństwa tak gorliwe indentyfikowanie interesów religji, z prywatnym interesem duchowieństwa—lub z instytucjami, które do życia powołał ubiegły dawno duch czasu, a nie dogmat religijny. Dzieje się atoli, że te sfery niektóre, uważają wszystko jako zamach na religję wymierzony, co nie popiera owych instytucji, a gorzej jeszcze, gdy waży się odsłaniać ujemne ich strony. — Zdaje nam się, że bez posądzenia o odstępstwo wiary, nie tylko można, ale nawet należy rozprawiać się z rzeczami, które pod osłoną religijną, religję podkopują, a w obec cywilizacji kompromitują katolicyzm, przypominając we wszystkiem faryzeuszów, których Chrystus biczem wypędzał ze świątyni. Zupełnie przedmiotowe traktowanie wielu niewłaściwości, popełnianych w imię religijności, ku jej szkodzie największej, przynosi ten pożytek, że salwuje społeczeństwo od zarzutu, jakoby całe wyrzekło się zdrowego sądu o rzeczach, jakoby wzięło rozbrat z istotną wiarą i wyrzekło się prawideł logiki. Z tego powodu, najdrobniejsze nawet słowo w sprawach tych wypowiedziane, przynajmniej potrzebnem się staje, jeżeli wielce ważnem być nie umie. Zdaje nam się, że potrzeba wymaga, aby zwracać bezustannie uwagę na szkodliwość instytutów naukowych zakonnych, niemających nawet naturalnej racji istnienia.

Bo jakaż może być racja bytu n. p. pensjonatów żeńskich po klasztorach? Czy brak pensjonatów świeckich, czy może tam znamienite środki edukacyjne? Jak wiemy, pensjonatów dostateczna we wszystkich miastach znajduje się liczba, a co do środków edukacyjnych, to doświadczenie poucza, iż pensjonaty zakonne pod względem dydaktycznym upośledzają umysł, a pod względem pedagogicznym zabijają go zupełnie.

Pensjonaty świeckie pod względem dydaktycznym, pozostają pod nadzorem władz szkolnych, i władza żadnej nieznajduje trudności w kontrolowaniu tych zakładów i nadawaniu im kierunku naukowego. Ztąd też dają gwarancję, że nauka odbywa się tam zgodnie z wymaganiami zasad dydaktycznych. Kontrola zakładów naukowych zakonnych, jest niemożebną częstokroć, a zawsze utrudnioną. Zakony usuwają się zręcznie z pod nadzoru władz i omijają obowiązujące ustawy, a reguła klasztorna osłania je tysiącem pozorów, pod któremi swe furty przed władzą szkolną trzymają zamknięte. Gdzież gwarancja, gdzież pewność, gdzież dowód, że tam uczą według wymagania dydaktyki? Na korzyść nauczania nic nie przemawia, a świadczy przeciw nauczaniu w pensjonatach zakonnych, cały szereg kobiet, które z edukacji klasztornej nader ubogą wyniosły wiedzą, i dopiero zawstydzone nieraz w życiu, wiadomości swoje uzupełniać musiały. Ma się rozumieć samo przez się, że nie mówimy tu o zakonach, które publiczne szkoły utrzymują, gdyż pożyteczna działalność takowych, często na uznanie i wdzięczność zasługuje. Jeżeli względy dydaktyczne nie znajdują żadnego usprawiedliwionego powodu do uważania pensjonatów zakonnych za potrzebne lub pożyteczne, owszem domagają się, aby je albo zniesiono, albo pod ścisłą ujęto kontrolę — to strona ich pedagogiczna zatruwa społeczeństwo, zatruwając serca i umysły biednych ofiar: przesądnych, lub niewykształconych rodziców. A ofiary te, mają być matkami, obywatelkami, mają wychowywać krajowi pożytecznych synów!

Dla poparcia słów naszych, przytoczymy kilka faktów, stwierdzonych przez osoby najwiarogodniejsze — aby zarzuty nie zdały się ogólnikowe, albo stronnicze.

W jednym z pensjonatów zakonnych, znajduje się instytucja „aniołów stróżów.“ Przełożona wybiera panienkę sprytniejszą od innych, a razem taką, która najzupełniej wyegzaltowała się w klasztorze, i powoławszy ją do siebie, prawi jej długą naukę o obowiązkach czuwania nad koleżankami w sposób taki, aby one o tem nie wiedziały, tak — jak anioł stróż niewidzialny, czuwa nad człowiekiem. Przedstawia jej przełożona, jak wielką zjedna sobie u Boga zasługę, jeżeli troskliwie śledzić będzie czynności, usposobienie swych koleżanek, i o wszystkiem doniesie przełożonej. Oczywiście — całe to czuwanie, śledzenie, cenzorowanie, odbywać się musi w ten sposób, aby nie zdradzić swej godności „anioła stróża.“ Tym sposobem tworzy się w pensjonacie wyborna szkoła szpiegów, bo jeden anioł stróż śledzonym jest przez drugiego, wszystkie panienki bądź szpiegowane, bądź szpiegujące.

W jednym z pensjonatów zakonnych, obowiązane są panienki każdego dnia wieczorem spowiadać się przed „mateczką“ t. j. przełożoną klasztoru. Spowiedź ta ma zawierać w sobie nejszczersze wyznanie wszytkiego, o czem pupilka przez cały dzień myślała, jakich doznawała wrażeń, co z którą koleżanek mówiła, co mówiły inne, słowem obowiązaną jest pupilka odkryć przed „mateczką“ całe dno duszy i serca, i złożyć dokładny raport z wszystkiego, co widziała i słyszała.

Że postępowanie takie dąży do zdemoralizowania, nie ulega wątpliwości. Czyż można wymagać, aby codzień, według programu, zdobyła się panienka na taki głęboki nastrój ducha, z jakiego jedynie zrodzić się może prawdziwe, szczere, wynurzenie się? Czyż podobną jest rzeczą, aby młode dziewczę, mogło dnia każdego stłumić wrodzoną sobie żywość, swobodę i przejęło się takim anachoretycznem rozmyśleniem nad sobą? Jakżeż to wreszcie osłabia znaczenie i całą doniosłość sakramentu pokuty! Z tego postępowania rodzi się hypokryzja, obłuda, i jakiś demoniczny zmysł wydobywania z siebie sztucznych myśli i uczuć, posłusznych na zawołanie.

Do następnego artykułu odkładamy opowiedzenie kilku jeszcze faktów tego rodzaju, poczem dopiero zamkniemy uwagi nasze o pensjonatach.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

XIII.

Esterka była sławną w całej okolicy pięknością. Urodzona i wychowana w karczmie, miała dziwne jakieś usposobienie marzące, rzecby można idealne. Zkąd jej to przypłynęło, ten tylko zdoła odgadnąć, kto odgadnie, zkąd na bagnach polskich, wśród zielska rozmaitego, w mały skromny kwiatek, co ledwie główkę z po za liści wychyla, spływa tyle krasy barwnej i tyle cudnej woni!... Esterce duszno było w karczmie ojcowskiej; ona okiem marzącem wybiegała po za jej smutne i ciężkie granice; i wybiegając okiem, wybiegła biedaczka sercem. Raz tylko ujrzała jakiegoś młodego krewniaczka Gradowskich, który w ułańskim stroju był w odwidzinach u rotmistrza, i który, gdy wstępującemu do karczmy podała na srebrnej tacy kieliszek słodkiej wódki, tak się słodko na nią spojrzał, tak lubo uśmiechnął, a tak grzecznie i szczerze podziękował, że biedne, piętnastoletnie dziewczę, już odtąd tylko marzyło o tych siwych oczach, o tym wąsiku jasnym, o tym uśmiechu jakby o promieniu z nieba otwartego... i o niczem innem ni marzyć, ni śnić już nie mogła. Odtąd świat co ją otaczał, stał się obojętnym, a serce uderzało tak przyspieszonem biciem, że się chwile w godziny, dni w miesiące, a miesiące w lata zmieniały.

Wydano ją zwyczajem żydowskim, za nieznanego młodego kupca, który ją wywiózł do Warszawy. Mąż jej był młody, przystojny i dobry człowiek; pokochał ją szczerze, ale ona jego twarzy nigdy nie widziała, bo inny obraz stał między nim a jej oczami. Cicha, potulna, żyła cichem, milczącem życiem, a gdy dostała syna jedynaka, w niego wlewała wszystkie skarby swych myśli, uczuć i marzeń niepojętych.

Chłopiec miał ledwie lat dziesięć, gdy matka umarła po długiej powolnej słabości, ale nigdy jej nie zapomniał, i nie zapomniał nigdy ostatnich jej słów:

— Józiu, kochaj twoją ojczyznę! bo to twoja ojczyzna ta śliczna nasza Polska!... bo ty Polak mój Józiu serdeczny!...

Biedna kobieta, ona kochała tę ojczyznę, kochała tę Polskę, bo ten kraj, ta Polska, była ojczyzną tego, którego nigdy nie zapomniała.

Ojciec Józefa choć kupiec i spekulant, a może właśnie dla tego, był człowiekiem postępowym, i sprzyjał w pewnych granicach sprawie narodowej. Nic więc nie miał przeciw temu, że syn jego, jedynak ukochany, starał się jak najwięcej obznajmiać i żyć z młodzieżą polską. Wśród samych prawie Polaków wychował się Józef; usposobienie które wziął po matce, w nim się wyrobiło w popęd wyższy do wszystkiego co szczytne, co wielkie. To też cóż mu się mogło wydać szczytniejszem, co wyższem od dziejów narodu nieszczęśliwego, który tyle miał wielkiej sławy w przeszłości, a w teraźniejszości tyle wielkich mąk i bolów... Józef miał serce poetyczne, i wyższe zdolności. Dzieje polskiej ojczyzny studjował, unosił się polską poezją, śpiewał pieśni polskie, a gdy się w nim rozbudził talent do malarstwa, (bo on to był twórcą obu obrazów olejnych w Mortkowej karczmie) rzucał na płótno same polskie przedmioty. Prócz jej usposobienia wziął też po matce i słabe zdrowie. Ojciec kłopocąc się tem zdrowiem jedynaka, przestraszony wyrokiem lekarzy, że synowi miejskie powietrze szkodzić może; i że na jego słaby i nerwowy układ jedynem lekarstwem być może świeże i wiejskie powietrze, wyprawił syna do dziadka, który dawno się o to domagał, chcąc syna ukochanej Esterki choć raz w życiu oglądać.

Przyjazd Józefa do Rozdroża był prawdziwą epoką w życiu Mortka i Basi. Dziadowi i babce zdało się, że widzą ukochaną Esterkę, tę perłę najdroższą, którą się tak krótko cieszyli. Ależ bo Józef był podobniutenki do matki; ten sam cudnej czystości profil prawdziwego typu wchodniego; ta sama cera blada, przezroczysta, a ciemniejszą zda się krwią wschodnią pocieniowana; to samo oko wielkie, pełne, ciemne jakby bezdenną głębokością, a promieniste, jakby najczyściejsza gwiazda nasza. Dodatek ciemnego wąsika, i długich, gęstych, jak jedwab cienkich i miękkich, długo spadających włosów, wzrostu wzniosłego, wysmukłego, i budowy choć nie silnej na pozór, ale pełnej siły wewnętrznej, męzkiej, choć może nerwowej zanadto, upiękzał jeszcze młodzieńca. Jeszcze w ich oczach kraśniejszym go czynił rumieniec, częsty gość jego twarzy, rumieniec ciemny, jaskrawy, który się starym wydawał rumieńcem zdrowia, choć właśnie nad nim stołeczni lekarze najwięcej głowami kiwali. Jedyna rzecz, która w pierwszej chwili przykro ubodła starych, była czamarka, którą nosił Józef, która go może jeszcze piękniejszym czyniła, ale się nie godziła wcale z wyobrażeniami ich starozakonnemi.

Lecz się mnsieli pogodzić z czamarką, bo Józef, chociaż wylany sercem i potulny względem dziadka, babki i całej rodziny, miał w sposobie mówienia i w całym układzie coś tak stanowczego, że przed tem niknąć musiała wszelka drobiazgowa opozycja. Owoż Józef przyjechawszy do karczmy, zaczął edukację Mortka. W przewrotnym porządku wnuk wychowywał dziada. Czamarka stała się pierwszym szczeblem wychowania polskiego, które przebyli stary żyd i stara żydówka podolska. Za czamarką przyszły obrazki z tłumacka wydobywane; za obrazkami poszły opowiadania o nich, o przeszłości i teraźniejszości, ludzi i zdarzeń z niemi połączonych. A gdy przyszły na ścianę portret Kościuszki i obraz bohaterskiej śmierci żyda pułkownika polskiego, przyszły i nauki przyszłości narodowej, w której tłumaczył im wnuk znaczenie braterstwa narodowego, jakie łączyć powinno dzieci jednej ziemi, dzieci jednej matki ojczyzny, choć je dzieli wyznanie. Miłość jaka przywiązuje zwykle dziadów do wnucząt, stała się dzielnym czynnikiem tego wychowania wstecz działającego. I ten czynnik jest tak silny i naturalny, że nie wahałbym się postawić jako zasadę, że w dziedzinie uczuć i myśli, łatwiej wnuk stać się może nauczycielem dziada, niżeli dziad wnuka. Mortko sam nie wiedział jakim sposobem został dobrym Polakiem, na słowo syna gotowym wyrzec się dawnych narowów i przesądów, a nawet gotowym do poświęceń dla tej sprawy, którą pokochał, bo ją kochał wnuk drogi, a przedstawiał ją tak cudownym, zaraźliwym zapałem. I większego jeszcze cudu dokonał, bo nietylko Mortka ale Basię przerobił. Stara żydówka, u której prócz żydów wszyscy inni byli gojami, a od gojów rozróżniała jeno puryców dlatego, że więcej z nich korzystać mogła niżeli z prostych gojów, uwierzyła wreszcie, że i goje i puryce są ludźmi nawet, a co więcej że trzeba ich miłować jak braci, dlatego że są takimi samymi Polakami, jak i synowie Izraela na ziemi polskiej urodzeni. Wpływ Józefa był nawet choć w części tylko zbawienny na resztę rodziny. Już nawet młode bachorki odpowiadały na zapytania: Kto ty jesteś?...

— Jestem Polakiem!...

A nawet belfer, to w historji naturalnej po ośle najupartsze stworzenie, przestał kułakami napędzać rozum do małych głów ujarmurkowanych, i nauki swe jak mógł nałamywał do polskiego języka.

Tak rzeczy stały w chwili kiedy wchodzimy do karczmy Rozdroża. Wszedłszy do pierwszej izby Mortkowego pomieszkania poznać odrazu, że czynią tam jakieś przygotowania na przyjmowanie jakichś gości. Stół w pierwszej izbie nakryty białym jak śnieg obrusem; potężny na nim spoczywa kugiel z najczystszej mąki, obok niego na srebrnych półmiskach leżą pierniczki i makagigi. Dwa nakrycia przy sofie spoczywają obok siebie w najczulszej zgodzie. Pani Basia z miszuresem przygotowała w drugiej izbie wanienkę z wodą, z której sterczą różnobarwnym lakiem popieczętowane butelek główki. Z przeciwnej strony dochodzi woń dosmażającej się gęsi i pieprznej a cebulnej ryby, w której przyrządzeniu Ryfka jest najpierwszą w gubernji mistrzynią.

— Możeby lepiej w tamtej izbie, koło tych portretów! — mówił Mortko.

— Nie dziadku! — odpowiedział Józef. Widok tych portretów nie jest dla Moskali. Oni nie są warci patrzeć na nie; i toby nawet naszej sprawie zaszkodzić mogło.

To rzekłszy zamknął Józef drzwi od drugiej izby szczelnie i dodał:

— Lepiej nawet, żeby tam nie zaglądali. Widok naszych obrazków, mógłby oburzyć moskiewskie oczy, jakby widok aniołów, który szatana do wściekłości jest w stanie przyprowadzić.

— Ale dlaczego sam nie chcesz być przy rozmowie naszej?

— Jabym mógł zaszkodzić!... Nie gniewaj się dziadku, ale ja z nimi bym nie umiał gadać ich językiem. Ty dziadku lepiej to potrafisz.

— I pocałował dziadka tak czule, że znikła przykrość, jaka się mogła ukrywać w tych słowach.

— Kieską tylko ciągle im brząkaj! — dodał uśmiechając się Józef. — To język

najzrozumialszy i najmilszy dla uszów moskiewskich.

XIV.

Po chwili gdy Józef wyszedł, i Mortko przechadzał się po izbie nie bez niespokojności, ozwał się lekki tętent zbliżającego się konia, i wkrótce przez drzwi ostrożnie otwarte, pojawił się najprzód daszek od czapki, mundurowym lampasem okrążonej, a za nią twarz długa, i jeszcze dłuższa szyja, wreszcie figura, również jak czapka umundurowana. Był to mężczyzna, jak mówiliśmy, w którym przeważała długość i chudych policzków i nosa na nim, i jeszcze dłuższej brody, i długość szyi, i nareszcie najdłuższa długość cienkich, patyczkowych nóg. Był on młody jeszcze, i niebrzydki nawet, gdyby nie ta przesadna długość i chudość, która go odznaczała, a mianowicie gdyby nie to piętno prawdziwie miedziane na czole i twarzy, jakiem się odznaczają po większej części wszyscy niżsi urzędnicy moskiewscy, i gdyby nie zyzowate, bure, fatalnym wzrokiem obdarzone oczy, dobywające się z pod brwi krzaczastych niepewnem świdrującem i śledzącem spojrzeniem. Był to typ silnie szpiegowski, któremu doskonale odpowiada wyrażenie moskiewskie: *Padlec.*

— Jak się pan zasidatel ma? — przywitał Mortko przybyłego.

— Jeszcze jej nie ma? — odpowiedział przybyły zapytaniem, i jął oglądać wszystkie kąty zyzowatemi oczami.... — Czy pewnie przyjedzie? może nie przyjedzie?...

— Jakto nie przyjedzie!... kiedy Mortko zapewnił jaśnie pana zasidatela....

— Bo może brat nie puści!... On się czegoś będzie domyślać....

— Moja Basia przecie sama jeździła, aby donieść o rybach z mojego spustu w Dubowicach, i prosiła, aby pan sprawnik sam czego najpiękniejszego wybrał. Panna Olga nawet nie chciała jechać, jak ją brat namawiał, aby sama karpiów i szczupaków wybrała.

— Nie chciała jechać?... jakto?...

— Przepraszam pana zasidatela, ale wielmożny pan nie chce zgadnąć, że moja Basia już pierwej szepnęła panny Olga do uszów, że....

— Ja tu przyjadę!... z was Mortku dowcipny jest szelma! — mówił z rubasznym uśmiechem Iwan Iwanowicz, zasidatel sądu niższego, czastnoj prystaw, mieszkający w Gradowcach, o którym już wspominaliśmy, a którego mam zaszczyt przedstawić czytelnikom moim w całej okazałości.

— Co by ja nie zrobił dla jaśnie pana zasidatela!... daj Boże żeby ja wielmożnego pana nazywał już prędko sowietnikiem....

— Nie tak to łatwo!...

— Dla czego!... ja wielmożnemu panu przepowiadam, i jaśnie pan będzie sowietnikiem.... W tem rzecz malutka!... a Mortko ma rozum i wie co mówi.

Iwan Iwanowicz zaśmiał się na to głosem tak grubym, że prawdziwie dziwić się trzeba było, jak się może dobyć głos tak gruby z tak cienkiego futerału. Śmiech ten po połowie był tylko zwrócony do pochlebstwa żydowskiego; po większej części właściwie skierowany był ten śmiech tak serdecznie gruby ku wchodzącej w tej chwili Basi, z wielkim sztofem doskonałej wódki brzesiłowskiej, sławnej na cały Wołyń, Podole i Ukrainę, z potężną półkwaterkową srebrną czarką.

— Wielmożny pan zasidatel!... po podróży!... — przemówiła Basia obleśnie, i znając Iwana Iwanowicza, nalewała już do czarki z góry płyn barwy żółtej, jak bursztyn przezroczysty....

— Ale to dzieńgielówka!,..

— Dzieńgielówka!... echt dzieńgielówka!... — powtórzyli obaj starzy małżonkowie.

— A chyba po podróży!... — rzekł Iwan Iwanowicz i łyknął tak ochoczo, aż mu zyzowate oczy przez jednę chwilę stanęły kołkiem zwrócone na wypróżnioną czarkę. Cmoknął ustami, i jakby w zapomnieniu wyciągnął ku Basi próżną czarkę.

Basia też zrozumiała, i napełniła ją coprędzej.

— Jeszcze jeden! — ozwał się Iwan Iwanowicz z wyrazem wewnętrznego szczęścia na miedzianej twarzy. — No, to tylko chyba dla tego, żem się strząsł na tej szkapie, coś po mnie przysłał żydzie niewierny, ty bestjo!

I łyknął drugi z równym zapałem, i równym sukcesem.

Żydzi uśmiechnęli się do zasidatela, mimo jego grubiańskich wyrazów, wiedzieli bowiem, że Iwan Iwanowicz im w lepszym humorze, tem dobitniejsze dobywa wyrazy z tego niewyczerpanego skarbca językowego, jakim jest u Moskali skarbiec przekleństw i grubiańskich wyrazów!... Jest to właściwość wspólna wszystkim prawie, nawet lepiej wychowanym Moskalom. Grubiaństwo jest u nich szczerością!... W interesie mianowicie tem lepszy, szczerszy i uczynniejszy jest Moskal, im więcej sadzi się na grubiańskie wyrażenia.

— Wielmożny pan zasidatel żartuje!— zagadł Mortko, uśmiechając się do Iwana Iwanowicza z tym wyrazem niby obleśnym, niby pokornym, jaki przybierają nieraz żydzi z podobnymi jak nasz zasidatel ludźmi, a w którym patrzący ostrożnie dostrzeże łatwo sarkazmu pogardy. — Mego koń!... to nie szkapa!... i lekko nosi!... to pańskiego konia!... sam marszałek chciał go u mnie kupić!...

— No, to chyba trzeci wypić trzeba! — przemówił znowu zasidatel, podsuwając czarkę. — Bo widzisz ty psiawiaro!... żydzie!... że jak moja śliczna barynia przyjedzie!... to trzeba będzie pić to głupie wino, albo ten szelmoski wiszniak! bo moja krewna Olga nie lubi, jak ja sobie złopię dzieńgielówkę!...

— Extra fein Dziengielówka!...

— Dobra dziewka! ale głupia jak wszystkie baby! nie wie co dobrego!... Mówi że mi dzieńgielówka, i wszelka wódka szkodzi!... Mnie nie szkodzi!... jabym sam ogień pił... a jamajkę to szklankami!... Im więcej piję!... tem większy mam rozum. *Rasmotry Jewrej*, jak ja piję!... a im więcej wypiję, tem lepiej umiem z ludźmi gadać!... Ja wtenczas!... tobym od nieboszczyka nawet wydobył ruble i bumaszki! Jak ja mam w głowie kilka stakanów wódki, tobym rodzonego brata tak uwikłał, że by się mi musiał dzięgami opłacić!.... (C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Rządy burbońskie.

Rządy papieskie i burbońskie dopełniały się wzajemnie, tworząc jednę całość. Pierwsze były więcej skryte, obłudne; drugie otwarte, tyrańskie. Demoralizować lud, i rządzić przy pomocy tego ludu — oto hasło osławionego Ferdynanda i nieodrodnego jego synalka, Franciszka II. Trzema *f* rządzą Burboni, mawjali Włosi, a te *f* znaczyły: *farina, festa* i *forca*. Chleb, uroczystości i szubienica oto trzy główne filary tronu królów neapolitańskich. Pospólstwa nie potrzeba zachęcać do pracy — krocie lazaronów niech leżą na stopniach kościołów — a ilekroć tłum będzie głodnym, damy mu daremnie mąkę; za to gdy rewolucjoniści powstaną kiedy, puścimy na nich pospólstwo jak tysiące krwi łaknących ogarów! Motłoch lubi okazałe uroczystości, będziemy go zatem niemi bawili. Liberalni chcą nam wydrzeć z rąk władzę, będziemy ich więc wieszali! — Tak wówili ministrowie i tak robili, a król z zadowoleniem każdy wyrok podpisywał. W r. 1848 w jednem Neapolitańskiem więcej na raz głów spadło, niż równocześnie we wszystkich innych krajach Europy. I takie rządy miały jeszcze dziś istnieć?

Gdybym chciał bodaj w streszczeniu przytoczyć wszystkie zbrodnie, które królowie Neapolitańscy popełnili w ostatniem dwudziesto-pięcio leciu swego panowania, musiałbym chyba spory tom zapisać. Ale ja jestem dalekim od takiego zamiaru! Ich czyny należą już do historji, więc ciekawy znajdzie w niej główniejsze. Aby nie drażnić zbytecznie opisami scen krwawych, opowiem tylko dwa zdarzenia, których świadkiem naocznym był ten sam *Signor* Pietro M. z którym poznałem czytelnika w jednym z poprzednich rozdziałów.

W Palermie żyło małżeństwo, które pobrawszy się z miłości, było sobie wierne i szczęśliwe. Mąż pracował w jakimś kantorze, żona prowadziła w domu wzorowe gospodarstwo. On miał lat dwadzieścia pięć i był mężczyzną bardzo przystojnym — ona skończyła dopiero lat ośmnaście i była uważaną za pierwszą piękność w stolicy Sycylji. Między ówczesnymi urzędnikami kwestury burbońskiej znajdował się niejaki Leonardo, który w gronie przyjaciół i znajomych zawsze utrzymywał, że w Palermie nie ma kobiety, którąby mu się oparła. Gdy tak raz chełpił się głośno, jeden z obecnych nagle zawołał:

— A jednak znam kobietę, której byś nie zbałamucił!

— Doprawdy? Jakże się nazywa?

— Signora Bianca L...

— Cha! cha! cha! właśnie ta, o której od trzech dni myślę.

— A co, zgadłem?

— Oszalałeś chyba! Ja jej nie zbalamucę!

*

Do miesiąca będzie moją! Może chcesz się założyć?

— Zgoda! Jaka stawka?

— Sto skudów!

— Przyjmuję!

Uderzyli w dłonie, przytomni głośnym parsknęli śmiechem, ciesząc się nadzieją upadku tej, którą powszechnie uważano za kobietę najpiękniejszą i najcnotliwszą — a signor Leonardo, który z taką pewnością siebie postawił na kartę miłości sto skudów, wyszedł z kawiarni, aby niezwłocznie rozpocząć kroki zaczepne. Piękna kobieta i sto skudów — to dla libertyna zbyt wielka ponęta!

Wejść w dom zacnych małżonków i stać się ich gościem codziennym, nie było rzeczą trudną dla wyższego urzędnika kwestury.

Każdy poddany króla neapolitańskiego patrzył z drżeniem na władzę, której samowola była jedynem prawem. Kwestura miała być policją, a tymczasem była tajną inkwizycją, która o wszystkiem wyrokowała, gdyż każdy jej rozkaz sądy ślepo spełniały. Członkowie takiej instytucji nie potrzebowali zatem lękać się, by przed nimi ktokolwiek swoje drzwi zamknął.

Signor Leonardo bywał już od tygodnia, a zawsze wybierał takie godziny, w których nie było gospodarza domu. Z początku może to Biance pochlebiało, że młody człowiek, za którym najpiękniejsze palermitanki tak ogniste rzucały spojrzenia, zaszczyca ją codziennemi odwidzinami; atoli później widząc, że komisarz staje się w rozmowach swobodniejszym, a w spojrzeniach zuchwalszym, prawie wyzywającym, zadrżała na myśl, że w poufałości zaszła może zbyt daleko. Był czas, że chciała zwrócić uwagę męża na natrętnika, ale obawa przed smutnemi następstwami wstrzymała ją od tego kroku. Giuseppe był gwałtownym, a prócz tego rząd podejrzewał go o liberalizm; gdyby więc obraził czem Leonarda, ten mógłby się na nim łatwo zemścić.

Minął tydzień, drugi i trzeci, a Leonardo mimo usilnych zabiegów o krok naprzód nie postąpił. Opór kobiety drażnił go do najwyższego stopnia, a możność przegrania całej setki skudów odbierała mu sen i apetyt. Widząc że czas już krótki, postanowił uczynić krok stanowczy, aby przyspieszyć rozwiązanie.

— Ja cię kocham, Bianco! — zawołał raz wieczorem, gdy ją samą zastał — ty musisz być moją!

Z temi słowy ujął ją w pół, chcąc do ust przycisnąć.

— Panie komisarzu! — zawołała przestraszona kobieta, uwalniając się ruchem energicznym — pan się zapominasz! Słowa pańskie mogą mnie tylko obrazić. Ja kocham mego męża i jestem kochaną!

W jej głosie było tyle powagi, a w słowach tyle siły przekonywującej, że Leonardo z gniewu usta do krwi przygryzł. Znając dobrze kobiety, wiedział, że każda z nich jest stworzeniem słabem w obec kochanka, ale niesłychanie silnem dla każdego, kto jej serca nie umiał natchnąć miłością.

— Drwi ze mnie, bo kocha swego męża, tego liberała! — rzekł do siebie komisarz, wracając tego wieczora do domu.

Nazajutrz przyszedł o godzinie zwyczajnej, a trzeciego dnia zrana, gdy w mieszkaniu Bianki wszyscy jeszcze spali, cały dom został otoczony silnym oddziałem policji. Do sypialni małżonków wszedł Leonardo w towarzystwie drugiego urzędnika.

— *Carissimo Giuseppe!* — rzekł do gospodarza, który więcej zdziwiony jak przestraszony przypatrywał się nowoprzybyłym, gdy ci weszli w pełnych uniformach; — bardzo mi przykro, że *illustrissimo signor questore* poruczył mi taką misję do spełnienia w domu najlepszego mego przyjaciela... ale obowiązek przedewszystkiem...

— *Per Dio!* — krzyknął Giuseppe na pół gniewnie, a na pół z trwogą — co to wszystko znaczy!?

— Władza otrzymała wiadomość, że ty, *carissimo amico*, przechowujesz broń u siebie.

Działo się to w r. 1848, w kilka tygodni po złamaniu rewolucji. U kogo wtedy broń znaleziono, ten bezzwłocznie śmiercią był karany.

— Kłamstwo! — zawołał Giuseppe z łóżka wyskakując—to potwarz! — Na tę wrzawę Bianka, która w przyległym pokoju ubierała się z pospiechem gorączkowym, wbiegła w białym stroju porannym; czarne warkocze spadały jej na ramiona. Cudowną była z tą bladością na twarzy, i z tym wzrokiem roziskrzonym, w którym bojaźń mięszała się z gniewem.

— To potwarz! — powtórzyła za mężem, a zwracając się do komisarza, dodała: — *Signor* Leonardo, pan znając nas oddawna wiesz, że mój mąż do polityki nigdy się nie mięszał.

— Bardzo mi przykro, *cara signora* — odrzekł zagadniony — że jej zapewnienia, którym najzupełniej ufam, dla prawa nie mogą wystarczyć... Jako wierny sługa J. K. Mości muszę spełnić mój obowiązek, i dla tego nie weźmiecie mi za złe, *stimatissimi cittadini*, jeżeli przystąpię do przetrząśnienia domu...

— Szukajcie! — odpowiedział gospodarz ponuro.

Nie długo szukali; w kilka minut pod starą szafą, stojącą w rogu drugiego pokoju, znaleźli parę krótkich pistoletów. Gdy je pokazano gospodarzowi, ten stojąc skamieniały słowa nie przemówił. Po strasznej tylko bladości jego oblicza można było poznać — że okiem duszy objął los, który mu zgotowano.

Bianca spojrzała na męża, potem na Leonarda, i tem delikatnem przeczuciem kobiety, które nigdy nie zawodzi, zgłębiła całą tajemnicę.

—*Brigante!*—krzyknęła przyskakując do komisarza — to tyś podrzucił te pistolety! Ty chcesz zgubić mego męża! Ale ja pójdę do kwestora, do króla... do papieża... do Boga po sprawiedliwość! Chybaby król był sam takim jak ty łotrem, żeby zezwolił na taką zbrodnię!

— Przykro mi *gentilissima signora* — odparł Leonardo z dawnym spokojem, — że za obrazę królewskiego urzędnika, i świętej osoby J. K. Mości, popełnioną w obecności tylu świadków, muszę cię uwięzić razem z mężem.

To powiedziawszy dał znak, i małżonkowie zostali odprowadzeni do więzienia.

* * *

Kwestor otrzymał był bezimienną denuncjację, że w mieszkaniu signora Giuseppe znajduje się skład broni rewolucjonistów, a że komisarz Leonardo znany był ze swojej gorliwości, wysłał go więc zaraz z oddziałem policji.

W południe tego samego dnia zebrał się sąd wojenny, który przesłuchał i zaprzysiągł tylko dwóch świadków: komisarza i jego asystenta. Wyrok skazujący obżałowanego na śmierć zapadł jednogłośnie.

W małej izdebce siedziała Bianca, z twarzą w dłoniach ukrytą. Nie płakała. Rozpacz wysuszyła źródło łez w jej oczach.

Wszedł komisarz.

— *Carissima signora* — rzekł przymilająco— radbym z całego serca osłodzić ci los gorzki...

— Poco pan przyszedłeś?—zapytała krótko głowę podnosząc.

— Chciałem ci powiedzieć, że twój mąż nigdy cię nie kochał...

— Co mówisz? — zawołała wlepiając weń spojrzenie obłąkane.

— Alboż kochając mógł był ciebie i siebie narażać?

— Ale ty kłamiesz, kłamiesz! On mnie nie narażał! Ty sam podrzuciłeś te nieszczęsne pistolety, aby od mego boku oderwać tego, którego ja kocham! Zrozumiałam twój plan, nikczemniku, ale ja powiem sądowi wszystko, on mnie zrozumie!...

— Wielka szkoda, że już zapóźno...

— Zapóźno!? — krzyknęła kobieta, zrywając się jak tygrysica. Jej usta drżały, oczy w słup stanęły.

— Uspokój się Bianco!... Namiętnym gniewem jego nie ocalisz, a siebie zgubisz... Myśl raczej o sobie i zaufaj mi jak przyjacielowi...

— Mój mąż, gdzie mój mąż! — zawołała nieszczęśliwa i siłą nadludzką odtrąciwszy komisarza, rzuciła się ku drzwiom wchodowym.

Wbiegli słudzy, wstrzymali uciekającą i ręce kobiety związali żelaznymi łańcuchy. Komisarz przestraszony wyszedł.

Po południu na placu tracenia zginął niewinny Giuseppe. Bianca, przytrzymywana przez oprawców, musiała „dla przykładu“ patrzeć na śmierć męża. Po spełnionym wyroku puszczono ją wolno — była obłąkana.

Wszyscy bracia niewinnie zamordowanego wyszli z miasta i zostali bryganami; do roku wszyscy zginęli na rusztowaniu.

Signor Leonardo nie przegrał stu skudów, bo w dniu wypłaty przeciwnik jego został nagle uwięzionym i dopiero wtedy puszczono go na wolność, gdy dał rewers, że otrzymał wygrane pieniądze.

A Leonardo? Żył wesoło i spokojnie całe pół roku, póki jeden z braci zamordowanego nie uderzył go nad morzem sztyletem w samo serce.

Tak rządzili Burboni na Sycylji.

A w Neapolu czy lepsze były stosunki? Zaraz zobaczymy. (C. d. n.)

AMAZONKI

w podaniu i dziejach.

Według Wilhelma Strickera opracował

WŁ. ORDON.

(Ciąg dalszy).

Palaphaetus (de non credendis fabulosis narrationibus) wyraża pewną wątpliwość co do ich płci. „Słychać — powiada — że Amazonki nie były to niewiasty, ale barbarzyńscy mężowie, których dla spadającej aż do stóp tiuniki wedle obyczaju trackich kobiet i z powodu, iż włosy wstęgą związywali a brodę golili, nieprzyjaciele na srom nazwali kobietami.“

Tyle wiemy o europejsko-azjatyckich Amazonkach. Do afrykańskich, głównem źródłem jest Diodor Sycylijski (Bibl. Hist. III. 52) Naznacza on tym swoim Amazonkom dawniejszy jeszcze

początek, niż go miały poprzednie i tak o nich opowiada opierając się na Dionizjuszu. „W zachodnich częściach Libji, na granicach świata, miał żyć lud, którym władały kobiety. One także prowadziły wojnę, zaciągały się na pewien oznaczony czas w służbę wojenną, i przez cały ten czas wszelkie stosunki z mężczyznami zrywały. Gdy przyszedł koniec tych lat służbowych, łączyły się znowu z mężczyznami dla utworzenia rodziny; publiczne jednak urzędy i zarząd ogólny zatrzymywały wyłącznie dla siebie. Mężczyzni prowadzą tam takie życie, jak u nas kobiety domowe; słuchając rozkazów swych małżonek, pozbawieni wszelkiego udziału w wojnie, rządzie i innych sprawach państwowych, co częste rodzi pomiędzy nimi zaburzenia przeciw kobietom. Natychmiast po urodzeniu, chłopców wręczają mężczyznom, którzy karmią ich mlekiem i innemi potrawy, w miarę wieku. Jeżeli się zaś dziewczyna urodzi, to upalają jej piersi, ażeby ich z czasem znać nie było; uważają bowiem za niemałą przeszkodę do robienia swobodnie bronią, jeżeli piersi od ciała odstają. Z powodu tego to braku właśnie, grecy Amazonkami je nazywali.“

W opowiadaniu powyższem znajdujemy coś jeszcze bardziej nienaturalnego, niż pomysł państwa kobiecego bez mężczyzn — znajdujemy „gynajkokrację“ rząd kobiet nad mężczyznami, rozwinięty w całej pełni. Dochodzimy także do źródła nazwiska Amazonek. Okaleczenie, jakiemu ulegają, jest tem źródłem. Amazonki — znaczy bezpierśne od „maza“ pierś i „a“ privativum (oznaczające brak czegoś). Sztuki jednak plastyczne we wszystkich przedstawieniach Amazonek nie uwzględniły tego braku, przeciwnie dają im wszędzie tors bujnie rozwinięty *).

Opuszczamy podania o wyprawach wojennych i zdobyczach Amazonek, zdradzających tendencję doprowadzenia ich przez Azję przednią, Archipelag i Trację do europejsko-azjatyckich ich siostrzyc i połączenia z niemi — a zwrócimy się wprost do chwili, w której podanie przenosi ich siedlisko w nieznane kraje północy.

Adam Bremeński **) (1076) tak opowiada o tem:

„Na brzegach baltyckiego morza, nazywających się obecnie „Babi kraj“ (Frauenland), mają się znajdować Amazonki, których dzieci zawdzięczają życie, wedle jednych, osobliwej wodzie, jaką piją te niewiasty, wedle innych przejeżdzającym kupcom, jeńcom wziętym przez nich do niewoli, a nawet potworom, nie rzadko się w tamtych stronach zdarzającym.

To ostatnie ma najwięcej prawdopodobieństwa. Dzieci te bowiem, jeżeli są płci męzkiej mają psie głowy; dziewczęta za to są najpiękniejsze pod słońcem. Amazonki owe gardzą stosunkiem z mężczyznami i chcących wylądować w ich kraju dzielnie odpierają. Psie głowy są ci, którzy mają głowę na piersiach. W Ruzzii (Rosji) często ich można ujrzeć jako jeńców. Zamiast mówić, szczekają.“

Wedle Rühsa autora „Historji szwedzkiej“ podobieństwo nazwy Quanen, dawanej przez Skandynawów Japończykom z wyrazem Quina, kobieta, dało powód współczesnym do poszukiwania w tych okolicach Amazonek.

Dotychczas wszystkie wzmianki o Amazonkach przedstawiają je w świetle dzikiem i wstrętnem. Dopiero epoka odrodzenia wskrzesza je w sympatyczniejszych zarysach. Eneasz Sylwjusz Piccolomini ze Sjeny, później papież Pius II. (1405—1464) w siódmym oddziale swojej „Historia bohemica“ podaje wieść o królestwie kobiecem Libuszy i Valaski, opartą na wzorach klasycznych. Rząd, założony przez Libuszę, a objęty następnie przez Valaskę, jest „Ginajkokracją“ w smaku Diodora sycylijskiego. Tutaj troska o utrzymanie państwa występuje dopiero po ustaleniu władzy zbrojną ręką, zupełnie jak w najdawniejszych podaniach. Podczas gdy Diodor i Strabo każą Amazonkom dzieci płci męzkiej odsyłać, a Justyn zabijać je, Eneasz Sylwjusz obiera drogę pośrednią i twierdzi, że czynią chłopców bezbronnymi i nieszkodliwymi dla kobiecych rządów, przez wypalenie im prawego oka i ucięcie wskazującego palca u ręki prawej. O okaleczaniu kobiet nie ma tu wcale mowy.

Ariosto (1474—1533) w 19 i 20 pieśni swojego poematu „Orlando Furioso“ tak maluje państwo kobiece, farbami Diodora i Eneasza Sylwjusza:

„Tak gdy przechodzą po grodu obszarze,
Widzą zuchwałe orszaki niewieście,
Kuso a zbrojnie jadące po mieście,
Łamiące kopje w turniejowym gwarze;
Mężczyzna z mieczem ani się pokaże,
Z ostrogą, kopją, z inną bronią wreszcie,
Kto ciekaw, w długiej spodnicy go spotka
Z igłą, grzebieniem, lub u kołowrotka.“

„Chcąc władzy mężczyzn wieczne stawić tamy,
Prawo wymaga: by każda niewiasta,
Syna zabiła w dzień urodzin samy,
Albo co najmniej w świat wysłała z miasta,
Ztąd tych wygnańców liczba coraz wzrasta,
A w zamian za nich owe chytre damy,
Ściągają zewsząd dziewcząt mnogie roje
I tem wzmacniają panowanie swoje.“

Wszystkich innych mężczyzn, którzyby się ośmielili tam wylądować, spotyka śmierć, jeżeli nie dopełnią pewnych warunków, które poeta następnie szczegółowo podaje. Wiek owego kobiecego państwa oznacza Ariosto na 2.000 lat w tył od epoki, w której się rozwija jego epopeja tj. od r. 800.

Libijskie Amazonki miały żyć także w królestwie swojem zwanem Damut w Afryce, w którem pewien misjonarz ojciec Joannes dos Santos twierdzi, że przebywał *). Wszystkie cechy dawnych podań powtarzają się w jego opisie. Toż samo opowiada E. Lopez **) w swojem „Opisaniu królestwa Kongo“ o państwie Monomotapa, leżącem pomiędzy 16 a 19 stopniem szer. połd. a więc niedaleko od wybrzeża, kędy dziś jeszcze spotykają się niewieście gwardje przyboczne u książąt murzyńskich—o czem niżej. Tem tylko różni się Lopez od swego poprzednika, że twierdzi jakoby upalano dziewczętom lewą pierś nie prawą.

Wszystkie te wersje i przenoszenie na różne miejsca starego podania dowodzą, że Conquistadorom (zdobywcom Ameryki) i misjonarzom znaną była dobrze literatura starożytna. Przenieśli oni baśni Herodota, Plinjusza, św. Augustyna, Izydora Hispaleńskiego i innych, o ludziach bez głowy, z psiemi, ptaszemi i lwiemi głowami, o jednonożnych itp. potworach do Nowego Świata. Sam Kolumb był przekonany, że trafił w Ameryce na Amazonki. W opisie swojej drugiej podróży napomyka, iż w Sta Croce zetknął się z łodzią, na której znajdujące się w wielkiej liczbie kobiety tak zapalczywie i upornie się broniły Hiszpanom, jak mężczyzni — a w Guadalupie uzbrojone kobiety nie dały mu wylądować. O mieszkańcach tej i innych wysep mówi tak Piotr Martyr. „Obie płci wielką siłą się znaczą i władają łukiem, a inną bronią kunsztownie. Skoro mężczyzn nie ma w kraju, niewiasty odpierają napady z równą męzkiej dzielnością, ztąd za Amazonki je miano.“

(C. d. n.)

---

*) Bliższe szczegóły o tem w F. Nagla „Historji Amazonek“ Stuttgart i Tübingen 1838. Str. 103. Dziełu temu służy za podstawę: „Petri Petiti (1617—1687) Philosophi et Dr. med. de Amazonibus dissertatio. Ed. II. Amstelod. 1687.“ Z odbiciami monet starych, płaskorzeźb itd.

**) Patrz „Historja rozszerzenia wiary chrześcijańskiej itd.“ Z łaciny przełożona przez Carstena Miesegaes. Bremen 1825. Str. 329. Roz. 21.—a także Rühsa „Historja Szwecji“ II. 119.

*) „P. Juan dos Santos et P. Labat, description de l' Ethiopie orientale.“ G. Nachtigall w czasopiśmie berlińskiego towarzystwa jeograficznego. 1870. V. 295.

**) Cytuje go Walter Raleigh w swoim „Opisie Gujamy.“ O gynaekokratycznym rządzie w państwie Matamba w Afryce opowiada także P. J. Ant. Cavazzi w opisie swoim królestw Congo, Matamba i Angola.

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

V.

Jachty daleko odpłynęły od brzegu, pomęczeni majtkowie pokładli wiosła, noc była cicha i jasna. Münich i cesarz siedzieli na pokładzie w milczeniu spoglądając na iskrzące gwiazdy i spokojne fale. Sternik podszedł do cara, pytając gdzie go ma wieść. Piotr zawołał Münicha i powiedział:

— Feldmarszałku! czuję teraz, żem zapóźno usłuchał twojej rady, lecz ty, coś się uwolnił od tylu nieszczęść, naucz mnie, co mamy dalej począć?

— Nie tracąc czasu, trzeba natychmiast połączyć się z eskadrą, stojącą w Rewlu odpowiedział Münich — a gdy wsiądziesz N. Panie na okręt, spiesz do Pomeranji i objąwszy nad stojącą tam armją dowództwo, wkrocz z nią do Rossji; zaręczam, że sześć tygodni nie upłynie, a Petersburg będzie znowu w twojem ręku i cała monarchja uzna twoją władzę.

Lecz dworscy kawalerowie i damy, jakby byli w zmowie, krzyknęli jednym głosem, że wioślarze z sił opadną, zanim się do Rewla dostaną.

— Będziemy wtedy sami wiosłować! — odpowiedział stary Münich.

Ale czy mogła przypaść do smaku ta bohaterska rada tchórzliwym i wiarołomnym dworakom, którzy drzeli na samą myśl podobnego kroku?

To też jeden przed drugim starał się na wyścigi upewnić cesarza, że niebezpieczeństwo wcale nie jest tak wielkie, jak to sobie wyobraża, że Katarzyna dla tego tyle nabroiła, że chce tylko pewniej z nim się pogodzić, i że lepiej rozpocząć układy, aniżeli bić się. Słaby car, którego całe nieszczęście spotkało właśnie wskutek tego, że nigdy nie umiał chwycić się męzkiego postanowienia, przystał do rady kobiet i wydał rozkaz szambelanowi, aby zawrócił do Oranjenbaumu.

Była 4ta rano, gdy jachty przybiły do brzegu, na którym cara spotkało kilka sług z zapłakanemi oczami. Piotr zakazawszy im opowiadać o swoim powrocie, zamknął się w gabinecie, polecając, by nikogo doń nie wpuszczano, poczem napisał list i wyprawił go potajemnie do carowej.

Około 10tej godziny wyszedł nieco uspokojony, a gdy to zobaczyła holsztyńska gwardja, która już powróciła z Peterhofu, rzuciła się do niego ze łzami w oczach; żołnierze całowali mu ręce, obejmowali nogi, prosząc, aby wysłał ich bić się z carową, przyczem przysięgali, że go będą bronili do ostatniej kropli krwi. Stary Münich skorzystał znowu z tej sposobności, aby obudzić zapał w cesarzu.

— Idź, N. Panie! — przemówił — idź przeciwko buntownikom, ja cię będę poprzedzał; kule dosięgą ciebie tylko przez moje ciało!

Lecz te rady starego wodza tyle skutkowały co szlachetne poświęcenie przywiązanych Holsztyńców.

Gdy się to działo w Oranjenbaumie, carowa na czele wojska zatrzymała się w Krasnym Kabaczku (karczmie), o siedm wiorst za Petersburgiem. Wszedłszy do izby, spoczęła kilka godzin na płaszczach, z których oficerowie na warcie urządzili jej posłanie. Ze świtem Grzegorz Orłów, z kilku odważniejszymi ochotnikami, wyruszył na zwiady w okolice Peterhofu. Nie spotkawszy po drodze nikogo prócz kilku chłopów, wracających z kosami od zbioru siana, wyjąwszy pałasz kazał im krzyczeć: „Niech żyje carowa!“ O piątej Katarzyna jadąc konno zatrzymała się w Siergjewskiej Pustyni (klasztorze).

Tutaj otrzymała list od cara, w którym ten przyznając się do swych występków, przyrzekał podzielić się z nią władzą; Katarzyna jednak kazawszy zatrzymać posłańca, ruszyła dalej w pochód.

Piotr III słysząc tymczasem, że carowa zbliża się, kazał osiodłać konia, w zamiarze umknięcia przez granicę polską. Lecz jak zwykle nieśmiały i wahający się, kazał zburzyć mury małej forteczki oranjenbaumskiej, aby tem dowieść żonie, że nie miał zamiaru sprzeciwiać się jej, ani z nią walczyć; nareszcie napisał do niej drugi list, żebrzący litości i w najuniżeńszy spsób prosząc o przebaczenie dla siebie, przyczem oświadczył, że abdykuje z korony wszechrossyjskiej, byle za to raczyła przeznaczyć mu pensję i udzielić pozwolenia swobodnego powrotu do Holsztynji. Katarzyna atoli nie raczyła odpowiedzieć i na ten list, a w rozmowie dosyć długiej z posłańcem, szambelanem Izmajłowym, potrafiła nakłonić go do zdrady, poczem posłała go z powrotem do cara, aby nakłonił do poddania się na jej łaskę lub niełaskę. Izmajłow powrócił sam jeden ze swoim sługą do Oranjenbaumu; car miał wtedy przy sobie 600 Holsztyńców, lecz jakby nie pamiętając o tem, wyszedł z szambelanem do osobnego pokoju i drzwi zamknął za sobą.

Wtedy Izmaiłow użył całej wymowy, aby go namówić do porzucenia wojska, w końcu radził, żeby natychmiast pojechał do carowej, przyczem zapewniał go, że będzie bardzo dobrze przyjętym i otrzyma wszystko, czego sobie tylko życzy. Piotr wahał się czas niejaki, lecz szambelan odparł, że jeśli nie pospieszy za nim, to nie ręczy za jego życie. Car zdecydował się pójść za radą zdrajcy i Izmajłow kazał przyprowadzić powóz, do którego wsiedli: Piotr, Elżbieta Romanówna Woroncowa i Hudowicz, poczem udali się prosto do Peterhofu.

Nieszczęsny car sądził, że to poniżenie rozbroi zawziętość Katarzyny, lecz wkrótce przekonał się, jak gorzko się omylił. Gdy powóz jego mijał kozaków, ci choć go nigdy nie widzieli, zachowywali smutne milczenie; lecz im dalej postępował, wojsko tem namiętniej wrzeszczało: Niech żyje Katarzyna! — co go mocno zasmuciło. A zaledwo wysiedli z powozu, żołnierze porwali hr. Woroncową i zdarli z niej oznaki frejlińskie (niektórzy upewniają, że tego czynu dopuściła się własnoręcznie ks. Daszkowa na swojej siostrze.) Jenerał Hudowicz został także znieważony, lecz znosił wszystko z zimną krwią i dumą, przyczem wyrzucał buntownikom ich zuchwalstwo i zdradę.

Cara wprowadzono na górę przez wielkie schody, zdjęto zeń order św. Andrzeja, rozebrano go; w kieszeniach znaleziono u niego mnóstwo brylantów i innych kosztowności. Pewien czas pozostawał tylko w koszuli i łosy, wystawiony na szyderstwo żołnierzy; następnie ubrano go w bardzo brzydki szlafrok, a przy drzwiach postawiono wartę.

VI.

Hr. Panin wysłany przez carowę do Piotra, rozmawiał z nim dosyć długo i pomiędzy innemi oświadczył, że wkrótce zostanie uwolniony i wysłany do Holsztynu. Do tych obietnic dodawał inne, chociaż żadna z nich nie miała przyjść do skutku. Następnie namówił cara do podpisania własnoręcznie aktu abdykacyjnego następującej treści: że krótki czas wszechwładnego panowania nad cesarstwem rossyjskiem, przekonał go o niemożliwości podołania temu ciężarowi, nie tylko samowładnie ale i w żadnej innej formie; że przewidując wstrząśnienie państwa, wskutek powszechnego rozstroju jaki w niem zapanował, a co mu grozi wieczną hańbą, po głębszem zastanowieniu się, z wolnej i nieprzymuszonej woli, uwiadamia Wszechrossyjskie carstwo jako też cały świat, że zrzeka się na całe życie panowania nad Rossją, odpychając przytem wszelką myśl dochodzenia praw dawniejszych, i na ostatku wzywa na świadka Boga, że ten list otwarty pisał i podpisał własnoręcznie.

Zaopatrzony w zgubny dokument, Panin atoli nie mało został zdumiony, gdyż zaledwo Piotr zaczął swobodniej oddychać, zjawił się nagle oficer z silną eskortą, i jako więźnia powiódł cara do Ropszy, małego folwarku carskiego o 40 wiorst od Petersburga; nie osadzono go jednak tam, ale w innem więzieniu, o czem niżej pomówimy.

Tymczasem Petersburg, nie odbierając żadnej wiadomości o marszu carowej, gubił się w domysłach. Piotr III miał w nim dużo jeszcze sobie oddanych i gdyby umiał był zdobyć się na męstwo, usłuchał rad Münicha i stoczył walkę z buntownikami, można się było spodziewać, żeby ich był rozproszył zupełnie, do czego sama stolica byłaby się przyczyniła, w części przez przywiązanie, a w części dla uniknięcia kary. Cudzoziemscy kupcy, liczni w mieście, najwięcej obawiali się rozbestwienia żołnierzy moskiewskich, którzy być może dla popisania się przed carem ze swych uczuć wiernopoddańczych, rzuciliby się do zabijania i rabowania.

Wskutek tego wielu znakomitych kupców zaczęło bądź wywozić w ukryte miejsca swoje skarby, bądź znosić je na swoje okręty, które gotowe były odpłynąć w razie ostatecznym. Ku wieczorowi dał się słyszeć strzał armatni, który z początku napędził wszystkim ogromnego strachu, lecz gdy później zaczęły po nim następować mierzone jeden po drugim, a nadto, gdy nikt nie pojawiał się w mieście z orszaku carowej, przekonano się, że ona zwyciężyła. Wtedy spokój znowu zapanował, a nowe nadzieje zastąpiły obawy.

Katarzyna przepędziła tę noc w Peterhofie, już nie jako uwięziona lecz jako samowładna pani. Następnego dnia przyjmowała u siebie powinszowania znakomitych panów z Petersburga i dworzan obojej płci, przybyłych z Oranjenbaumu; pomiędzy ostatnimi znajdowali się: ojciec, brat i wielu innych krewnych ks. Daszkowej, która widząc ich leżących u nóg Katarzyny, rzekła do niej:

— N. Pani! przebacz memu rodzeństwu, gdyż wiesz, że poświęciłam je dla ciebie!

Katarzyna rozkazała im wstać i pozwoliła ucałować swoją rękę. Wtedy zbliżył się i feldmarszałek Münich; lecz zaledwo go ujrzała, żywo zawołała:

— A więc to ty feldmarszałku, chciałeś ze mną wojnę prowadzić?

— Ja sam, N. Pani! — odpowiedział starzec.—Była to najmniejsza usługa, jaką mogłem oddać monarsze, który powrócił mi swobodę; odtąd wszakże moim obowiązkiem będzie walczyć za ciebie! Znajdziesz we mnie równą gorliwość jaką okazywałem ustępującemu carowi.

(Dok. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Król Kabba Rega.

Gdy w Unyoro król umrze, zwłoki jego są wystawione nad wolnym ogniem na rusztowaniu z zielonego drzewa, podobnym do dużej suszarni. W ten sposób ciało jego piecze się, wysychając stopniowo, póki nie stanie się podobnem do uwędzonego zająca. W dostatecznym już stanie zasuszenia, ubierają nieboszczyka w nowe suknie z kory, i z całą paradą, ustawiają w osobnym domu zbudowanym umyślnie na jego przyjęcie. Synowie lub spadkobiercy, dobijają się wtenczas tronu, i wojna cywilna trwa czasem lat kilka, a zmarły król czeka w swoim domku na pogrzeb dopokąd nie będzie następcy. W końcu gdy los walkę rozstrzygnie, zwycięzca przychodzi do domu, w którym stoją wystawione zwłoki, a zbliżywszy się do zmarłego, wbija dzidę drzewcem w ziemię przy prawicy królewskiej, co jest symbolem zwycięztwa.

Po objęciu tronu pierwszą powinnością nowego władcy jest pogrzebanie zmarłego króla. Wykopują wtedy ogromny dół, w którym ukła-

dają rzędem nowe suknie z kory, a potem wstępuje kilka żon nieboszczyka, które usiadłszy na ziemi przyjmują na kolana ciało zgasłego ich pana i króla.

W nocy poprzedzającej dzień pogrzebu, pułk przybocznej gwardji królewskiej, opasuje wsie i łapiąc wszystkich tych, co pierwsi wyjdą rano za próg swoich domów, przyprowadzają ich przed otwór grobu. Wtenczas następuje pełna grozy scena: pojmanym mieszkańcom zaczynają dużemi kołami łamać nogi i ręce, i wrzucają ich do otworu na wierzch ciała królewskiego i jego żon. Zfanatyzowany tłum nasypuje na biedne ofiary ziemię i przydeptuje, skacząc po tej chaotycznej masie ciał ludzkich i gliny. Żadna ofiara nie może uwolnić się od smutnego losu pogrzebania żywcem. Jęk boleści, krzyki fanatyków i piekielny hałas bębnów, rogów i piszczałek, towarzyszy temu obrządkowi.

Ciekawy to fakt, że zwyczaj tych pogrzebów przechował się od wieków między ludem Afryki; i tak zdarzyło mi się czytać w dziele podróżnika Ibn Batuta, pisanem w roku 1346, zajmujące szczegóły odnoszące się do ceremonji pogrzebowych, jako też wzmiankę o zwyczaju chowania królów w Sudanie.

Ibn Batuta opisuje swoje przybycie do miasta Khan Balik, w chwili gdy Khan, czyli cesarz był nieobecny. a kuzyn jego złączywszy się z wyższymi dygnitarzami państwa, powstał przeciwko Khanowi, któremu zarzucając, że przekroczył prawa, chciał tron wydrzeć.

Cesarz na czele licznej armji przygotował się do bitwy, ale zwyciężony sam utracił życie. Gdy wieść o jego śmierci doszła do stolicy, miasto całe przystroiło się świątecznie, a trąby i bębny pobudzały szał wesołości, zachęcając do zabaw ludowych, które trwały przez cały miesiąc. W tym czasie sprowadzano ciało Khana i stu jego krewnych i sprzymierzeńców. Duże sklepienie wymurowano w ziemi, wysłano je pięknemi dywanami, wniesiono ciało, ustawiono koło niego oprócz broni wszystkie naczynia złote i srebrne, jakich używał za życia, a potem weszło wewnątrz sześciu mameluków i dwie niewolnice, z których każde trzymało puhar z napojem dla Khana. Gdy ludzie usadowili się w grobie, otwór został zamurowany, na górze usypano mogiłę i przyprowadzono cztery konie. Wprawiając je w galop, pędzono tak długo biedne zwierzęta, póki ze zmęczenia nie ustały; wtedy przywiązano je do słupa na mogile, i tam każdego konia przebito palem, w kierunku poziomym. Ciała krewnych Khana pogrzebano w ten sam sposób, a nad niemi stały po trzy przebite konie. Żony cesarza i pierwsi jego dygnitarze, musieli przez czterdzieście dni żałoby obozować w pobliżu grobowca, a niektórzy nawet przedłużając swoją pozagrobową pamięć, pozostali tam rok cały. W około ich namiotów, mieszkańcy urządzili formalny targ, gdzie pokutnicy mogli zakupywać wszystkie wiktuały.

O podobnych obrzędach pogrzebowych, pisze dalej Ibn Batuta, nie zdarzyło mi się jeszcze słyszeć. Indjanie i Chińczycy palą swoich umarłych, inne ludy grzebią ich, ale nie zakopują z niemi osób żyjących. W Sudanie tylko, między niektóremi plemionami, przechowuje się zwyczaj podobny, o którym dowiedziałem się z ust wiarogodnej osoby; tam gdy król umrze grzebią go razem ze służbą i dworakami, jakoteż z trzydziestoma synami i córkami najdostojniejszych odzin, którym łamią poprzednio nogi i ręce. Opis ten zgadza się zupełnie ze zwyczajem do dziś dnia przechowanym w Unyoro, co jest dowodem wielkiego konserwatyzmu ludów Afryki, pod względem obyczajów i obrzędów.

Po skończonych ceremonjach pogrzebowych króla Kamrasi, Kabba Rega objął rządy kraju, a z niemi prawo do wszystkich żon pozostałych po ojcu, z wyjątkiem własnej matki; należy to do zwyczajów zdawna ustalonych w Unyoro. Krzesło tronowe, na którem zasiada król, zabytek starożytności, przechowane z dawnych wieków, jest zrobione z drzewa i miedzi. Rodzaj zabobonu wiąże się z tym tronem. Oto lud mówi, że gdyby tron przypadkiem został porwany, król utraciłby władzę, a nieład i zaburzenia panowałyby w kraju aż do chwili odnalezienia talizmanu władzy. Równie cennym jest stary bęben; obu tych przedmiotów strzeże straż osobna dniem i nocą i rzadko bardzo bywają używane.

VIII.

Niewolnictwo w Unyoro i Uganda.

Dzieło zaprowadzenia reform i zniesienia niewolnictwa, było już szczęśliwie rozpoczęte; handlarze zostali ukarani, Sulejman odsiadywał w kajdanach swoje zuchwalstwo, a część niewolników zwróciłem rodzinom w Unyoro. Pozostawało jeszcze po obliczeniu Kabba Regi i szejków do 1000 ludzi z tych okolic, którzy znajdowali się po różnych stacjach: Fatiko, Fabbio, Faloro i Farragenia, a których uwolnienie leżało mi bardzo na sercu.

Chociaż Kabba Rega i jego poddani powstawali przeciwko handlarzom, sami byli jednak tak dobrze rabusiami jak kompanje handlarskie. We wszystkich afrykańskich plemionach, które zwidziłem, niewolnictwo jest poniekąd naturalną instytucją kraju, i dla tego potępianie ogółem handlu niewolnikami, jest tam złą polityką, gdyż zaczepia lokalne interesa i gwałtownie w nie godzi. Nie można wdawać się w obszerny wywód moralnego poglądu na niewolnictwo, trzeba tylko ograniczyć się na utyskiwaniu nad pogwałceniem wolności kobiet i dzieci. Murzyn nie pojmuje siódmego przykazania z innego stanowiska jak — „nie będziesz kradł — mnie“. — Co do własności drugich jest on bardzo liberalny.

Mtese, możny władca Uganda, na południowej granicy Unyoro, zwykł skupywać kość słoniową dla mieniania jej później na towary kupców Zanzibaru. Z wrodzoną przebiegłością zmonopolizował kość, nie dozwalając kupcom nabywać ją na własną rękę, ponieważ chce jej sam dostarczać za niewolników lub towary. W Unyoro zdrowa młoda dziewczyna przedstawia wartość jednego zęba słonia, lub nowej koszuli, a kupiona za koszulę, bywa następnie mienianą na kość. W okolicy Uganda, gdzie ludność celuje w krawiectwie i kuśnierstwie, za ładną dziewczynę dają trzynaście igieł. Taka wymiana, może być bardzo korzystną dla handlarzy niewolnikami, którzy kupiwszy dziewczynę za trzynaście igieł w Ugando, mieniają ją potem w Unyoro za kość słoniową, która w Angliji kosztuje dwadzieścia do trzydziestu funtów. Ale zbójeckie kompanje Abou Saooda nie kontentując się takim handlem, w braku towarów uznały za rzecz korzystniejszą porywanie dziewcząt, niżeli wdawanie się w frymarkę igłami i koszulami.

Rozmawiając raz z jednym szejkiem, który uskarżał się na ludzi handlarskiej kompanji, zacząłem rozczulający wykład o bezprawiach i okrucieństwie handlu niewolnikami, przyczem nadmieniłem, że wszelkich sił dołożę, aby znieść to nieludzkie obchodzenie się z plemionami Białego Nilu. Poczciwy człowiek zdawał się wzruszonym moją mową, a sama myśl przymusowego rozłączenia rodziców z ukochanemi dziećmi, łzy mu wyciskała. — „Macie syna?“ spytał mnie rozrzewniony. — Moi synowie niestety pomarli — odparłem. — „Doprawdy! — zawołał. — Ja mam syna, jedynaka syna, ładny chłopiec i wysoki na swój wiek. Chciałbym, żebyście go widzieli, jest trochę szczupły, ale jak pobędzie z wami to wkrótce utyje. On jest w istocie ładny chłopiec i zawsze głodny. Wy byście go bardzo lubili; on je od rana do wieczora i zawsze głodny. Wy byście za nim przepadali i nie mielibyście z nim kłopotu; dacie mu tylko dostatnio jeść; jak się naje, to się położy spać, obudzi się i znów będzie głodny. Dobry chłopiec, bardzo dobry, to mój jedynak! Ja go wam sprzedam za *molotkę!* (rydel żelazny krajowego wyrobu).

Skutek mej wzruszającej przemowy do tego kochającego ojca był więc zadziwiający. Za łopatę ofiarował mi jedynego syna!

Powyższego przykładu nie można jednak uważać za zwyczaj ogólny, chociaż nie ulega wątpliwości, że między plemionami Białego Nilu, można podczas przednowku kupić nawet dziecię płci męskiej. Dziewczęta są zawsze do nabycia, a między plemionami, które zwidziłem w Afryce, żony także się kupują, gdyż miłością nic się tam nie zdobędzie.

Dużo córek jest źródłem bogactwa dla ojca. Szczęśliwy ten, kto ma ich pełną komorę; żadna nie zostanie starą panną, a rodzicom, co wychowali ich tuzin, złotodajne dziewoje przynioszą co najmniej 150 krów. W Unyoro, gdzie bydła jest bardzo mało i wszystko prawie należy do króla, dziewczęta kupują za różne inne przedmioty, jak bransolety tombakowe, ubrania z kory, koszule bawełniane i kość słoniową.

Organizacja rządu w Unyoro różni się swoją centralizację od rządów północnych plemion, którym brak wszelkiej jedności. Wszystkie części tego kraju są rządzone przez wielkich szejków, którzy rozkazują niższym od siebie szejkom, a sami podlegają najwyższej władzy króla. Na wypadek wojny każdy gubernator prowincji staje ze swoim kontyngensem, gotów na rozkazy ogólnego władcy.

Porządek tej organizacji przetrwał już wiele pokoleń.

Do oryginalnych zwyczajów trzeba jeszcze dodać ustawę, która będąc ciężarem dla mieszkańców, staje się bardzo krytyczną dla przybyłych podróżników. Tak w Uganda jak Unyoro, jest zaprowadzony zwyczaj, który nie dozwala przybyszom zakupywać żywności, ponieważ powinni być utrzymywani kosztem mieszkańców, z czego wynika, że podróżni całkiem nie są żywieni; krajowcy bowiem za ukazaniem się gości wynoszą się cichaczem. Za pierwszą moją bytnością w tych stronach ucierpiałem wiele z powodu głodu, i teraz chąc się zabezpieczyć od tej plagi, zamierzałem dość wcześnie porobić zasiewy, do czego oczyszczenie gruntu z wysokiej trawy było niezbędne. Ze względów strategicznych, było nawet nieroztropnię osiedlać się pośród trawy, i mimo że najmniejszych nie miałem podejrzeń, wolałem widzieć się wśród otwartych pól niźli oddychać ściśnionem i wilgotnem powietrzem. Z tem wszystkiem robota szła bardzo

opornie. Kabba Rega widocznie był niechętny odsłonięciu większej przestrzeni, i wkrótce dostrzegłem, żeśmy byli szpiegowani, a nawet dla tem łatwiejszego doglądania naszych czynności, w pobliżu mojego domu król kazał dla siebie wystawić mały budynek, pod pozorem, że chce w ściślejsze ze mną wejść stosunki. Z nadzwyczajną szybkością wykończoną została budowa tej nowej rezydencji, a wyglądała jak zgrabny koszyk, mający ściany zewnętrze ładnie trzciną wyplecione.

Kabba Rega udał się zaraz do swego domku, ja zaś chcąc w nim wzbudzić zaufanie, przyszedłem go odwidzić bez broni i eskorty, w towarzystwie tylko porucznika Baker i nieodstępnego Monsora. Król zdawał się w różowym humorze; pozbył się nawet swej dzikiej bojaźni i prosił, bym go uważał za swojego syna i dał mu wszystkie towary, którem sprowadził. Odparłem na to, że i ojcowie nie oddają od razu swojej własności synom; niech tylko będzie przyjaźnie usposobiony dla wicekróla, i zechce dopełniać względem niego swej powinności, a wynagrodzę go za tę życzliwość.

Od niego więc zależało powodzenie, co zaś do napadu na Rionga i króla Mtese, — który mu także zawadzał — nie mogłem na to zezwolić, gdyż chodziło mi o pokój, a nie o zamięszanie w kraju. W obecnej chwili najważniejszą rzeczą było odesłanie Sulejmana i jego ludzi, którzy u mnie odsiadywali pokutę, a których chciałem odstawić do Fatiko. Ztamtąd zamierzałem sprowadzić oddział i obsadzić go w opuszczonej stacji Fowera, do czego potrzeba mi było 300 ludzi, by odstawiwszy handlarzy, przenieśli rzeczy zostające w Fatiko. Król mógł mi w tem pomódz, za co obiecałem mu wejść w rokowania z Riongo. Projekt ten zachwycił króla, cieszył się myślą pozbycia kompanji handlarskiej, a nadewszystko tak długo marzonym napadem na Rionga.

Zostawiłem go rozradowanego, a wróciwszy do siebie zastałem ludzi Sulejmana z Alim Geninarem na czele. Przyszli mnie prosić o przebaczenie, przyrzekając służyć odtąd wiernie w wojsku nieregularnem. Co prawda, nie wierzyłem bardzo w szczerość ich zaklęć, ale z drugiej strony, że byli mi ciężarem, gdyż samo pilnowanie tej tłuszczy wymagało co najmniej dwudziestu żołnierzy, postanowiłem więc pozbyć się tej biedy czynem wspaniałomyślnym. Obdarowałem ich mojem przebaczeniem, zwracając certyfikaty jako członków nieregularnej siły; a ponieważ w tym czasie zamierzałem z całą ceremonją przyłączyć Unyoro do Egiptu, upozorowałem ułaskawienie tem, iż w dniu takiej uroczystości, nie życzę sobie widzieć któregokolwiek z poddanych wicekróla odsiadującego karę. Jednego tylko Sulejmana nie uwolniłem; miał on być odesłany do Kairu, aby tam odpowiedzieć za ścięcie niewolnika w Fowera. Nowo zaciężnej sile dałem w dodatku nieco paciorków, aby sobie zakupili ubrania z kory, na dzień oficjalnego przyłączenia Unyoro.

Wyrobienie ciekawej tej odzieży odbywa się w bardzo prosty sposób. Korę z pewnego gatunku figowego drzewa, odzierają mieszkańcy z pnia, w pasach do sześciu stóp długich, a o ile możności najszerszych. Wierzchnią część kory zdejmują za pomocą ostrza dzid, poczem rozciągają oczyszczone łyko na szerokich belkach, i biją młotkami, których regularnie wyrżnięte karby odbijają się na korze. Czynność ta powtarza się tak długo po obu stronach kory, póki nie nabierze giętkości. Wpływ powietrza robi korę pierwotnie całkiem białą, lekko brunatną, przy zbytkowniejszych zaś wyrobach malują wzory wodą ze źródeł żelaznych. Królewskie ubrania są wyrabiane tylko w Uganda, zkąd je zakupują za kość słoniową. (C. d. n.)

Zapóźno.

Co to za pieśń?... Z niebiańskich bram
W wiosny tu tchnieniach mknie?
Po co ta pieśń? — O! ja ją znam!
Lecz nie chcę słyszeć — nie!
Choć szczęściem drży, choć łzami lśni,
Choć w wielki zbrojna czar —
I w złoty blask minionych dni
I w uśmiech... zgasłych mar!

Zapóźno już!... Zapóźno już
Stracony wraca raj!
W wieńcu mych snów zabrakło róż,
W łzach uwiądł wiosny maj!...
I jasna myśl zapadła w cień,
I duch znękany mój —
Czy spada noc, czy świta dzień,
Poślubił czarny strój!

I serce me po przejściu burz
Zapadło w martwy sen...
Nie dla mnie już... Nie dla mnie już
Anielski oddźwięk ten!
Dziś usta me miłości pieśń
Wykrzywia w gorzki śmiech!
A z świętych mogił ścierać pleśń
Bluźnierstwem... o! to grzech!

Zamilknij więc jak milczy ból
Co w piersi mojej wre!
Świat wdzięcznych mask i sztucznych ról,
Nie prawdy od nas chce!
Więc śmiejmy się!... Nad śmiechem tym
Zapłacze Anioł stróż!
Lecz mnie — zapłakać razem z nim
I kochać... późno już!

25. Marca 1875

Marja B.

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

I.

Mieszkańcy morza.

Gdziekolwiek myślą twoją uderzysz,
i czy uwierzysz, człeku, czy zmierzysz,
po całym świecie znajdziesz ład wszelki,
bo świat jest boży, a Bóg jest wielki.

Wincenty Pol.

Pięknem jest morze w spokoju, gdy gładką jak lustro powierzchnię swych wód przedstawia, wspanialszem jest jeszcze, gdy z wiatrem w zapasy idzie i z rykiem i hukiem jego się sile opiera. Lecz niemniej pięknem jest ono w swych głębiach. Tam majestatyczne skały z drogocennych korali wznoszą się do góry, w około których wielkie i małe, piękne i potworne uwijają się ustroje. I w rzeczy samej nigdzie na ziemi nie można odszukać takiej obfitości w przykładach osobliwszego rodzaju ustrojów, takiej mnogości kształtów, zadziwiających szczególną swoją organizacją, życiem i miejscem pobytu, jak właśnie w głębiach morza, na zamulonem dnie jego. Objawy te nie powinne nas wcale zadziwiać, skoro wspomniemy, że istoty te od wieków odgrodzone od wszelkiej łączności z zewnętrznym światem, przez swe jednostronne życie musiały pozostać takiemi bez zmiany, jakiemi przy tworzeniu się wód były, kiedy inne ustroje, coraz to nowym podlegając warunkom życiowym, z warunkami temi walcząc, doskonaliły swe kształty, w kolonje wielkie się łącząc, aby tem z większą siłą i energją odeprzeć napastnika—nieprzyjaźną naturę. Objawy te nie powinne też nas zadziwiać i dlatego także, iż przyzwyczajeni do kształtów na ziemi żyjących, wyrobiliśmy sobie pojęcia, z któremi zrośliśmy się, a które są odmienne od pojęć, jakiebyśmy mieć mogli, gdybyśmy sami w głębiach morza egzystować musieli.

W olbrzymich przepaściach morskich, wynoszących 12.000 a nawet i 24.000 stóp głębokości, w gronie licznych promieniowców (Radilaria), zasiedlających delikatny muł kredowy tych przepaści, przemieszkiwa stworzenie, bądź to w postaci okrągłych albo bezkształtnych bryłek śluzowych, bądź w postaci siatek pokrywających ogromne łomy kamienne, lub inne na dnie morskiem znajdujące się przedmioty. Często siatka ta w takiej zajduje się ilości, iż na pozór przedstawia bezkształtną galaretę śluzową, w której małe wapienne ciałka, jak diskolity, cyaolity w wielkiej liczbie się znajdują, będąc pomiędzy pojedyncze oczka siatki wplątane. Wapienne te ciałka prawdopodobnie są produktem wydalinowym galaretowatego stworzenia, pozostałością niestrawionego pokarmu.

Dzięki niezmordowanym poszukiwaniom angielskiego zoologa T. H. Huxley'a, który w 1868 r. z głębokości 24.000 stóp wydobył to stworzenie, wiemy dziś, iż to jest bathybius — ustrój, składający się tylko z bezkształtnej zarodzi (czyli protoplasmy albo plasmy), to jest białkowatego połączenia węgla, które w niezliczonych odmianach stanowi **główną** objawów życiowych podstawę, i we wszystkich ustrojach **zawsze** musi się znajdować.

Huxley nazwał ustrój ten *Bathybius Haeckeli*, czyli **żyjątkiem głębin**. Żyjątko to należy do **moner**, do najprostszych ustrojów, znanych do dziś uczonemu światu, a znajdujących się w nieprzeliczonej liczbie w głębiach wód.

Pierwszą monerę odkrył E. Häckel w Nicei w 1864 r. i robił spostrzeżenia nad całym gatunkiem tego ustroju, nad *Protogenes primordialis*. Polak Cienkowski w r. 1865 dokładnie opisał monerę słodkich wód pod nazwą *Vampyrella*, tak, iż dziś wiemy, że ciało wszystkich moner przedstawia się w całym przeciągu ich życia, jako bezkształtna ruchoma bryłka. Bryłka ta śluzowa, nie większa jak główka szpilki, żyje, bo się porusza, karmi i rozmnaża, ma więc główne cechy zwierzęcego osobnika.

Podczas ruchu monery na jej powierzchni, powstają długie, nadzwyczaj delikatne nitki, tak zwane **nibynóżki** (pseudopodia), a które niczem więcej nie są, jak bezpośredniem przedłużeniem tej bezkształtnej śluzowej masy, intermistycznemi jej wyrostkami. Wyrostki te w ciągłym wirowym są ruchu, a ponieważ z tej samej śluzowej materji się okładają, co i całe ciało monery, są więc lepkie. Za pomocą właśnie tej lepkości i ruchu nibynóżek monery, te ostatnie karmi się a to w ten sposób, że skoro do lepkiej nibynóżki monery przylgnie jaka mała cząsteczka ustrojowych ciał, lub drobna roślina albo wymoczek, natenczas rozdrażniona powierzchnia nibynóżki powoduje tę ostatnią do natychmiastowego skurczenia się jej i zlania z galaretowatą masą monery, a

przez to do wciągnięcia wewnątrz ciała monery i odrobinki, która przylgnęła była do lepkiej powierzchni nibynóżki. Nibynóżka więc u monery wypełnia funkcję ręki, a ruch jej wirowy służy do prędszego zetknięcia się z mikroskopijną cząsteczką mogącą służyć za pokarm monerze. Proces więc odżywiania u monery odbywa się na mocy prawa przesiąkliwości (endosmosis) i jest najprostszym, jaki sobie wystawić można. Rozmnażanie się, czyli rozpłód tych istot, nie jest zawilszem jak odżywianie.

Ta bryłka śluzowa, doszedłszy za pomocą odżywiania do pewnej wielkości, dzieli się powoli na dwie; naprzód tworzy się w środku jej pewne zaklęśnięcie, czyli zwężenie, zaklęśnięcie to coraz staje się głębszem, a w końcu tak głębokiem, iż przerywa monerę na dwie połowy, jak to ma miejsce u opisanej przez Häckla *protogenes primordialis*, lub na 4 części, jak u *vampyrelli*. Inne, jak protomonas, protomyxa, maxastratum, rozpadają się jednocześnie na wielką liczbę małych bryłek śluzowych.

Każda z tych bryłek oddzieliwszy się od macierzy, zaokrągla się, a pojawiając się jako samodzielny osobnik na mocy prostego wzrostu, wyrównywa wkrótce wielkością rodzicielskiemu ciału, odgrywając tę prostą grę objawów życiowych, odżywiania i rozpłodu za pośrednictwem samopodziału, jak tamte. Dziwny, niezbadany ustrój, którego naturaliści ani rośliną ani zwierzęciem nie chcą nazwać! Przejdźmy i my więc do takiego ustroju, który więcej jest znanym, a który także w głębiach morza życie swe czerpie. Któż nie zna gąbki, kto jej nie używał, zacząwszy od dziecka w powiciu aż do staruszki babki, która nią ciało nieboszczyka obmywa? I szczególna, że gąbka w świecie cywilizowym to charakterystyczny towarzysz jego mieszkańców, od urodzenia bowiem do śmierci im służy. A jeżeli z ilości zużytego mydła w kraju można mieć wskazówkę i nawet skalę cywilizacji narodu, to i gąbce tego zaszczytu odmówić nie można. Lecz piękna czytelniczko, co pewno codzień gąbką się obmywasz, coś ją tysiące razy widziała i dotykała, wieszże czem jest ona? Czy to przerób fabryczny z rośliny, lub zwierzęcia, czyli też ustrój jaki organiczny, w stanie, w jakim go matka natura wydała?! — Przed laty stu odpowiedziano by ci — gąbka to wodna roślina. Do dziś dnia żyjący slawny zoolog w Lipsku, Rudolf Lenckart rumieni się za to, że przed 30 laty gąbkę tak nazwał, a niemniej znany Ernest Häckel profesor, który jak wyżej mówiliśmy, odkrył nam pierwszy tajemnice życia monery — tenże sam Häckel z Jeny mozolną pracą dopiero odpokutował błąd, iż gąbki w 1866 r. nie chciał między zwierzęta policzyć, mieszcząc ją w królestwie przez siebie nazwanem „królestwem pierwotników" (*Protistenreich*), które podług niego ma składać mnóstwo istot żyjących, lecz tak odmiennych od roślin i zwierząt, tak niezbadanych w objawach swych życiowych i anatomicznej budowie, że je podług niego zupełnie oddzielić od tych dwóch królestw wypada. Dziś sam powoli coraz to zmniejsza granice tego dziwnego królestwa, wliczając istoty, które dawniej pierwotnikami nazywał to do roślin państwa, to do zwierząt królestwa, stosownie do ich funkcji żywotnych i budowy anatomicznej. Tak też i gąbka (*Spongiae* s. *Prorifera*) doczekała się zaszczytu, iż ją zwierzęciem uznano. Lecz, jakże gąbka może być zwierzęciem, gdzież jej kształty do zwierzęcia podobne, jak się porusza, a nadewszystko jak i czem się żywi i rozmnaża? Są to pytania, które ze względu na pozorną bezkształtność gąbki nie jednemu na myśl się nasuną i nie bez racji.

Gąbka jest zwierzęciem, to pewnik, lecz zwierzęciem zupełnie różnem od psa i od ptaka, różnem od ryby i płazu, od gadu i robaka, nie jest mięczakiem ani szkarłupniem, ani wymoczkiem lub stawonogiem, lecz jest zwierzęciem jamochłonnem (coelenterata), czyli jak w dawnych szkolnych i nieszkolnych książkach nazywano, zwierzokrzewem (zoophyta). Stara ta nazwa nie była bynajmniej źle wybraną, z niej można wyraźnie zrozumieć, iż zwierzę to bardzo zbliżone jest do krzewu, do rośliny. To też budowa ciała gąbki i innych do tego rodu należących zwierząt, bardziej się różni od budowy reszty rodów zwierzęcych, aniżeli te ostatnie między sobą, a kształty jej tak są niedoskonałe w porównaniu z kształtami innych rodów, sposób życia tak odmienny, iż przyznać musimy, że gąbka, i w ogóle zwierzokrzewy więcej do roślin są zbliżone, aniżeli do zwierząt.

Ten kawałek gąbki, który codziennie jest w waszej ręce, to mała cząstka ogromnego krzewu. Przyjrzyj się Szanowny Czytelniku, czy rozpoznasz w nim przewód pokarmowy, lub układ krwionośny, lub jakikolwiek przyrząd, który byś mógł z przyrządem innego zwierzęcia porównać?! Nie, u jamochłonnych, wszystkie czynności odżywiania, jak trawienie, obiegu krwi, oddychania i wydzielania, wykonywa jedyny tylko układ żołądkowo-naczyniowy, inaczej jamochłonnym albo gastrowaskularnym zwany. Wszystkie jamy ciała otwierają się do żołądka, a usta są zarazem otworem wydalinowym (odchodowym).

A gdzież są te usta zapytasz, gdzie żołądek? Wszystkie te otwory, które na powierzchni zwyczajnej naszej gąbki są widoczne, wszystkie one przedstawiają w pewnym porządku ułożoną siatkę z rogowatych ścianek, które służyły kiedyś, za życia zwierzokrzewu, podobnie jak nam kości za wewnętrzną podstawę, nadającą kształt całemu ciału tego ustroju. Niektóre z rogowych tych ścianek po bliższem zbadaniu pokażą się nam także w postaci bezkształtnych kanalików, dążących w tym samym kierunku i w tym samym celu. Kierunek ich idzie ku środkowi, ku wnętrzu ustroju, gdzie właśnie znajduje się jeden szerszy przewód. Przewód ten, owa jama wewnątrz rogowego ciała gąbki, odbywa funkcje podobne zwierzęcemu żołądkowi — funkcje trawienia, a zarazem gromadzi z całego ciała zwierzokrzewu soki jego, niby krew, i rozprowadza za pomocą układu tych samych niezliczonych kanalików po całem ciele zwierzęcia. Teraz nietrudno się domyśleć gdzie są usta u gąbki! Owe rozsypane po jej powierzchni malutkie otworki są więc ustami, za ich pomocą bowiem zwierzę pokarm przyjmuje, lecz są zarazem i otworami, przez które niestrawione resztki pokarmu się wydalają. Tak więc jak układ krzyżujących się w ciele gąbki kanalików, służy do prowadzenia pokarmu i zeń wyrobionych soków, czyli jest układem żołądkowo-naczyniowym, dwie odrazu czynności spełniającym, tak i usta do dwóch też funkcji są przeznaczone.

Gąbka więc nasza do mycia, czyli rogowa (ceratospongia), jest to skupiona gromada pierwotnych komórek (amoeb), podobnych bardzo do opisanych już wyżej moner, z tą tylko różnicą, że monera całe swe ciało złożone z pierwośluzu posiada nagie i bez oddzielonego wewnątrz jądra, gdy amoeby t. j. pierwotne komórki już na wyższym szczeblu rozwoju stoją, posiadając często osłonkę na zewnątrz i oddzielone od protoplasmy (zarodzi) we wnętrzu jądro. Gromada ta skupionych komórek rozrasta się w ogromne krzewy w niezmierzonej głębi morskich przestworzy — krzewy, przy których największe naszych lasów drzewa są karłami, liliputami. Stosownie do stopnia rozwoju osobników t. j. amoeb, składających kolonję (krzew cały) gąbki, rozróżniamy wieloliczne jej odmiany, czyli w znaczeniu naturalisty wieloliczne jej rodziny. I tak całą gminę gąbek (spongiae), zazwyczaj w jednę gromadę skupioną, możnaby podzielić na dwie, a mianowicie *a*) bezskieletowych (malacospongiae) i *b*) skieletowych (sceletospongiae). Pierwszych ciało składa się z nagich amoeb, w zewnętrznej warstwie (ectoderm) zupełnie z sobą zlanych, w wewnętrzej (ectoderm) tylko rozdzielonych, i przedstawia na pozór jednolitą śluzową masę, jak np. gąbka północnego morza *Halisarca Dujardinii*, którą zoolodzy liczą do mięsowatych gąbek (Myxospongiae) i kauczukowe (Gumminace), wyróżniające się kauczukowatą zawartością swych komórek. Skieletowych gąbek ciało posiada kościec, który jak już mówiliśmy, nadaje kształt całemu ciału, służąc mu za podstawę. Do tych więc należy gąbka rogowata (ceratospongia), której kościec właściwie tylko używamy do mycia.

Pierwsze t. j. bezskieletowe, będące na niższym stopniu rozwoju, mniej dokładny posiadają system kanałów, a życie ich więcej zbliżone do życa moner.

Wszystkie bez wyjątku gąbki prowadzą życie stałe (stabile), niewolniczo będąc połączone podstawą pnia (cormus) z dnem morskiem, lub jak niektóre mięsowate przyczepiają się do byle czego n. p. Halisarca Dujardinii, przyczepia się stale do blaszecznicy morskiej (laminariae).

Wskutek tego zaliczanie ich dawniej do królestwa roślin, a obecnie po bliższem zbadaniu przyłączenie do państwa zwierząt, nie wyda się nam tak karygodnem, bo też zadziwiająco i do rośliny i do zwierzęcia jest gąbka podobną!

Wiedząc obecnie dokładnie, że gąbka jest zwierzokrzewem, z licznych komórek, podobnych do amoeb, złożoną, nie trudnem będzie odgadnięcie sposobu jej rozmnażania się.

Tak jak jednorodna i pozbawiona wszelkiej budowy bryłka śluzowa pojedyńczej monery karmi się, wzrasta i rozmnaża, tak samo będąca składnikiem gąbki komórka, to samo czyni.

Sposób ich rozpłodu różni się od powyżej opisanego rozmnażania się moner tem, że tu przewężanie, czyli to zaklęśnięcie, następuje naprzód w samym środku, gęściejszego od ciała amoeby — jądra (nucleus) i rozdziela go na dwie połowy. Dwa te tylko co powstałe jądra, oddalają się od siebie i działają jak dwa osobne środki przyciągania na otaczającą je białkową zarodź (czyli protoplasmę), wskutek czego i ona dzieli się następnie, tworząc dwie oddzielne młode komórki, jeżeli posiadają zewnętrzną osłonkę, lub dwie amoeby, jeżeli tej nie mają.

Ważną i nadzwyczaj pouczającą jest kwestja osobnikowości gąbki.

Podczas gdy jedni badacze, każdy byle połączony z pniem, pojedyńczy, czy rozgałęziony odrostek gąbki za osobne indiwiduum uważali, inni bez względu na łączność tego wyrostka z pniem, czyli każdy, choćby z bocznej gałązki wyrastający kawałek już nazywali osobnikiem. W nowszych wreszcie czasach, gdy poznano owe pierwotne amoeboidalne komórki, które cały skie-

let gąbki wypełniają, chciano takowym godność osobnika przyznać. Dujardin i Liberkühn całemu krzewowi dopiero to miano przyznają, a Oskar Schmidt, który wszystkie gąbki na pojedyncze (solitäre) i złożone (sociale) dzieli, przyznaje tym godność pojedynczego osobnika, które regularnie jeden tylko otwór odchodowy posiadają, gałązki zaś, któreby więcej jak jeden taki otwór posiadały, już złożonemi mają być osobnikami.

Dr. Z. Rościszewski.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

„Całą noc nie zmrużyłam oka — zdawało mi się, że to ta śmieszna moja obawa jakichś nieistniejących „strachów“ usnąć mi nie daje, ale teraz już przecież dzień biały, choć jeszcze bardzo wcześnie, a ja nie mogę pozbyć się mojego niepokoju. Być może, że za wiele myślałam o... To wszakże nie nowina, oddawna już we śnie i na jawie nie myślę o niczem innem. Dobrze to wujcio powiada, że nauki robiłyby pod opieką naszą olbrzymie postępy, gdybyśmy rozmyślały o czemś rozumnem tyle, ile rozmyślamy o „bzdurstwach.“ Nie zgadzam się tylko na ten ostatni wyraz, zresztą, niestety, zmuszoną jestem przyznać słuszność wujciowi, że nasza cierpliwość i drobnostkowość w spostrzeganiu, a wytrwałość w rozmyślaniu, wyszłaby na dobre matematyce, fizjologji, albo chemji. Wujcio zaraz dodaje, że matematyka, fizjologja albo chemia musiałyby w takim razie nie mieć więcej jak trzydzieści lat, i musiałyby mieć piękne czarne wąsiki..... Cóż robić, już się nam zmienić niepodobna. Widzę tylko, że panowie myślą o nas mniej, niż my o nich, skoro mieli czas spostrzedz i wymyślić tyle mądrych rzeczy.

„My jeżeli wymyślimy co, to mówiąc w pokorze ducha, zawsze coś niedorzecznego. Nie uwierzycie, jaka fraszka trapi mię znowu od wczorajszego południa. Przypominacie sobie, że ciocia wyłajała nas trochę za nasze uwagi o spotkaniu z p. Zgorzelskim, przedwczoraj w aptece. Pomimo napomnień cioci, nie mogło mi wyjść z myśli, co też ten pan wyjmować mógł ze słoja w nieobecności aptekarza? Przeczytałam napis na słoju, ale zapomniałam go, i mimo całego natężenia myśli nie mogłam sobie przypomnieć, chociaż zdawało mi się, że znam wyraz łaciński czy grecki, który w ten sposób wypadł mi z pamięci. I znowu żałowałam, że p. Wacław nie uczył nas dłużej chemji...... Jak was kocham, usypiając ostatni raz pod jednym dachem z wami, wbrew twierdzeniu wujcia, myślałam o chemji, ale oczywiście nic wymyślić nie mogłam...

„Wczoraj rano, wśród nowych a tak głębokich wrażeń, wyszło mi to wszystko z głowy. Po objedzie natomiast, i po owej przechadzce w ogrodzie, w której przyłączył się do nas p. Zgorzelski, gdyśmy wróciły na werandę, pani Zamecka zaproponowała pannie Wandzie, ażeby mi pokazała „gospodarstwo kobiece.“ Prawda, że siedziałam jak trusia, i że można było przypuszczać, iż gęsi, indyki, gołębie i krówki zabawią mię lepiej niż towarzystwo ludzkie; Panna Wanda wstała, nie mówiąc ani słowa, i miałyśmy już odchodzić, gdy naraz papa, jakby odgadywał moje myśli, odezwał się, że może p. Wacław „zechce towarzyszyć pannom“ bo wycieczka nasza miała być dość daleką. Naraz zerwał się i p. Zgorzelski, ofiarując nam swoją rycerską opiekę, ale p. Zamecka zagadnęła go, czy porobił jej sprawunki w mieście, i zamiast iść z nami, musiał iść do swego wózka i rozpakowywać tłumoki, podczas gdy my troje ruszyliśmy ku bramie zamkowej. Tutaj zastanowiły mię różne zabytki z czasów, gdy zamek był warownym, a p. Wacław objaśniał nam ich znaczenie z całą znajomością rzeczy. Oglądałyśmy strzelnice w murach, przyrządy do zwodzenia mostu, i do spuszczania brony — a ja tymczasem uważałam z daleka, że pani Zamecka wyszła na ganek, a p. Zgorzelski, zbliżywszy się, oddawał jej jakąś maleńką paczkę, owiniętą w papier. Wiecie, że mam wzrok doskonały — otóż widziałam dokładnie, że pani Z. chciała rozwijać paczkę, ale p. Alfred zatrzymał ją szybkim giestem i miał wyraźnie coś nakształt przestrachu w twarzy. Wszystko to uderzyło mię, nie wiem dla czego — zastanawiałam się, coby to mógł być za sprawunek w takiej niewielkiej paczce, zwłaszcza gdy nasze kobiece sprawunki zwykle zajmują nierównie więcej miejsca, i dla czego pan Zgorzelski nie chciał, ażeby pani Zamecka rozwijała paczkę? Gdyśmy wróciły na werandę, trafiłyśmy na reprymendę, którą dawał papie lekarz z Korytnicy, dr. Chimerski. Pokazuje się, że papa cierpi na astmę i miewa czasem bardzo silne ataki, a pod żadnym warunkiem nie chce się leczyć, utrzymując, że każda kuracja jest gorszą od choroby. Doktor począł żartować na ten temat, że p. Zamecki złożył sobie towarzystwo z księdza i lekarza, ażeby być uwolnionym od dewocji i od leków — a pani Zamecka nadmieniła, że zamierza stać się lekarką, i że sprowadziła przez p. Zgorzelskiego akonit i inne środki homeopatyczne dla chorych we wsi. Rozpoczął się spór o homeopatję i allopatję, podczas którego ja, starałam przypomnieć sobie, czyli ingredjencja, którą p. Zgorzelski brał ze słoja w aptece, nie nazywa się przypadkiem akonit? Przypomniałam sobie dokładnie, że nie, i nakoniec zapytałam pannę Wandę, czy nie ma jakiego dzieła, traktującego o chemji? Odpowiedziała, że nie ma, ale za to dr. Chimerski ofiarował mi całą swoją bibljotekę, a p. Wacław wspomniał, że ma bardzo przystępnie napisaną książkę o chemji, którą mi przyszle. Dotrzymał słowa i zaraz po napisaniu pierwszego listu do was, wzięłam się do wertowania tego dzieła. Najbardziej interesowały mię notatki ołówkiem, czynione na marginesach jego ręką, choć były to same tylko uczone uwagi, zupełnie dla mnie niezrozumiałe.

Podziwienia godną jest rzeczą, ile on wie, a jaki przytem skromny! Podczas owej rozprawy o homeopatji powiedział zaledwie słów parę, a ze sposobu, jak je doktor przyjął, widzieć można było zaraz, że miały one więcej wagi niż to wszystko, co mówili inni. Nic dziwnego—on tyle pracuje... cały zatopiony jest w swoich naukach.... Znowu przypominają mi się słowa wujcia, że mężczyzni uczą się, ażeby w i e d z i e ć, a my, ażeby się popisywać wiadomościami, i to, chociaż z natury jesteśmy ciekawsze od mężczyzn..... Ma się rozumieć, że męzka nauka bardziej zaprząta głowę i mniej zostawia czasu do myślenia o czem innem... Ale, miałam mówić o książce, którą mi dał p. Wacław. Otóż znalazłam w niej to słowo, którem była zapomniała. Jest to „Cyankalium,“ czyli po polsku, sinek potasu. Teraz już najdokładniej przypominam sobie, że taki, a nie inny był napis na słoju, i pojmuję, dla czego aptekarz, wszedłszy, zamknął na klucz szafkę, w której znajdował się słój, nim zapytał, czego żądamy. Pamiętacie może, że p. Wacław tłumaczył nam, iż cyankalium jest bardzo gwałtowną trucizną. To tłumaczy mi niepokój, jakiego doznaję od chwili naszego spotkania z panem Zgorzelskim w aptece. Nie mogłam sobie przypomnieć wyrazu, ale pamiętałam rzecz samą, i dotychczas łamię sobie głowę nad tem, poco komu takiej trucizny? Być może, że gdyby nie mimowolny wstręt, który czuję do p. Zgorzelskiego, i gdyby nie moje usposobienie, dzięki któremu przeczuwam nieraz jakieś klęski i nieszczęścia, które później, z łaski Bożej, nie wydarzają się wcale, nie zwracałabym najmniejszej uwagi na to wszysko, co tu piszę, i co prawdopodobnie nie ma najmniejszego sensu. Teraz dopiero, przeczytawszy, com napisała, wobec słońca, które uśmiecha się do mojego okna przez zieloną gęstwinę liści, uważam, że bawię was samemi sennemi niedorzecznościami, wylęgłemi wśród cieniów i strachów nocy. Cyankalium, p. Zgorzelski, sprawunki, p. Zamecka — wszystko to nie ma i nie może mieć najmniejszego związku z sobą, i nawet najbujniejsza moja wyobraźnia nie zdoła wykomponować takiego związku. Radabym spalić ten list i napisać wam coś rozsądniejszego, ale mówiono mi, że posłaniec na pocztę odchodzi bardzo wcześnie, i nie ma już innej rady, jak tylko włożyć w kopertę cały ten groch z kapustą, i posłać go wam, abyście się śmiały ze mnie. Tylko, na miłość Boga, nie pokazujcie moich listów wujciowi — że ich sam nie zażąda, tego jestem pewną. Całuję was itd.“

Z treści tych listów wiemy, jak Helenka przepędziła pierwszą noc swoją w zamku rymiszowskim, i że oprócz dwóch okien, widzialnych ze wsi, można było jeszcze i w trzeciem, od strony ogrodu, widzieć światło aż do wschodu słońca. Co więcej—podobne zjawisko można było obserwować i na plebanji. Ks. Chyżycki, wróciwszy tam pod wieczór z Wacławem, i usiadłszy na ganku, przypatrywał się jakiś czas uważnie swojemu zamyślonemu wychowankowi. Nakoniec, jakby ciągnął dalej urwaną rozmowę, odezwał się:

— Nie ma co mówić, bardzo piękna dziewczyna. W główce, jak się zdaje, dobrze, a w sercu także nie najgorzej.

Wacław zarumienił się, bo go proboszcz schwytał na gorącym uczynku. W istocie nie myślał w tej chwili o niczem innem, jak tylko o tej pięknej, dobrej główce, i o pięknem dobrem sercu. Myśli jego zatrzymały się były na chwili, w której go zmięszanego jak studenta, przyszła powitać tak serdecznie, z takim wyrazem w oczach... Wrażenie, jakiego doznał wówczas, trwało w nim ciągle, czuł jeszcze uścisk jej ręki i serce rozpływało mu się jeszcze pod jej spojrzeniem. Nie zdawał sobie sprawy z uczuć, które doznawał, a im bardziej nieokreślone, tem bardziej były one błogie. Głos proboszcza wyrwał go z tego miłego letargu, popatrzył w koło, jak człowiek z omdlenia przywołany do zmysłów, i czuł się prawie niemile dotkniętym, że kto drugi mógł w tej chwili myśleć o Helence, i przerywać jego słodkie otrętwienie, akcentem rzeczywistości. Ale przypomniał sobie, że tym drugim był najżyczliwszy przyjaciel, największy dobrodziej, jakiego miał na świecie, i słuchał w milczeniu, podczas gdy ksiądz prawił dalej:

— Bardzo jeszcze młoda, ma lat zaledwie szesnaście. To bardzo dobrze! Jeżeli ci sprzyja

a sądzę, że ci sprzyja, to za sześć lat będzie taką samą, jak dzisiaj, a za sześć lat, ty będziesz miał stanowisko w świecie i wszelkie skrupuły upadną. Tymczasem możesz kochać się i pracować. Miłość uprzyjemnia pracę, a praca nie daje usychać z miłości.

— Wy, ojcze, zawsze macie słowo pociechy dla mnie. Bóg wam zapłać za wasze dobre serce!

— Ach, ty, ty, mazgaju! Znowu masz łzy w oczach. Że też żaden Rusin nie może kochać się, żeby nie beczał przy tem! Wartoby, abyś kiedy pojechał w moje strony, na Mazury. Tam chłopcy i dziewczęta kochają się śpiewając wesoło, śmiejąc się i tańcząc. Nikt nie wzdycha i łez nie roni. Zamiast waszych melancholicznych dumek, żwawy krakowiak wyraża tam uczucia, a przecież i tam ludzie mają serca, tylko ich nie kwaszą niepotrzebnym smętem. Powiedz ty mnie, czemu ty masz taką smętną minę, jakbyś szedł za pogrzebem? Czyś jeszcze nie kontent z twojej panny? Czy wątpisz, że za kilka lat będziesz mógł śmiało prosić o jej rękę?

— Za kilka lat, ja będę miał skromne utrzymanie, które wystarczyłoby w innych warunkach, ale ona zawsze będzie bogatą dziedziczką, szlachcianką, panią, a ja człowiekiem z ludu. Te różnice społeczne zatarły się u nas tylko na oko; w gruncie, w przekonaniach, istnieją one jak dawniej. A potem, zkądże ja mam być tak zarozumiałym, bym przypuszczał, że ona... że mi jest życzliwą?

— Mazgaj! mazgaj! Staje jak student przed kochanką, ona biegnie do niego, chwyta go za rękę i patrzy mu w oczy tak, że ja sam byłbym ją chętnie uściskał, a on lamentuje nie wiem nad czem, chyba nadtem, że mu się nie oświadczyła sama. Szlachcianka — pani — dziedziczka! Jestem przekonany, że u Skryptowiczów nie nauczyła się zaglądać do herbarza, a jeżeli będzie miała rocznie kilka tysięcy odziedziczonych, to ty będziesz miał tyleż, zapracowanych. Idź przejść się, w pole, albo do twego pokoju, i staraj się pozbyć tej zafrasowanej twarzy, bo mię gniewasz!

Wacław poszedł do swego pokoju, i w jego to oknie można było widzieć do rana, czwarte tej nocy światło w Rymiszowie. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział X.

(Budowa statku. — Drugi zbiór zboża. — Polowanie na koulasy. — Wieloryb przed oczyma. — Harpuna z Vineyard. — Rozćwiartowanie wieloryba. — Użytek z fiszbinu. — Koniec maja. — Pencroffowi nic już nie pozostaje do życzenia.)

Gdy Pencroff raz wbił sobie jaki zamiar w głowę, nie spoczął, i nie dał innym spokoju, pokąd go nie dokonał. Otóż zachciało mu się odwidzić wyspę Tabor, a ponieważ statek pewnej wielkości był ku temu niezbędnym, trzeba było więc zbudować taki statek.

Po porozumieniu się z marynarzem, inżynier podał plan następujący.

Okręcik miał mieć trzydzieści pięć stóp długości a dziewięć szerokości, co było dostatecznem do nadania mu znacznej szybkości, jeżeli tylko dno i linje poziome wyciągnięte na części jego zanurzonej w wodzie, a równoległe do linji unoszenia się nad wodą—dobrze będą urządzone. Zagłębiać się miał nie więcej jak na sześć stóp, co wystarczało, aby go uchronić od skośnego zbaczania. Przez całą długość jego miał ciągnąć się pomost, z dwoma drzwiczkami prowadzącemi do dwóch izb, przedzielonych przepierzeniem. Urządzenie jego całkowite miało być takie jak w sloopie (sloup—mały okręt wojenny o jednym maszcie) z szalupą, masztem sztabowym, wieżyczką, żaglem trójkątnym, słowem z ożaglowaniem łatwem do manewrowania, tak ażeby je ściągnąć można było bez trudu w razie burzy, a gdy potrzeba, trzymać się blisko lądu. Wreszcie pudło jego miało być tak zbudowane, ażeby dyle przystawały do siebie, zamiast leżeć jeden na drugim; listwę zaś, w którą się zapuszczają dyle, miano przymocować na gorąco, po przypasowaniu poprzedniem całego dylowania.

Jakiegoż drzewa należało użyć do tej budowy? Wiązu, czy jodły, obojgu obficie znajdujących się na wyspie?

Zdecydowano się na jodłę, drzewo nie zbyt „rąbliwe“ jak się wyrażają cieśle, ale łatwe do obróbki i znoszące również dobrze jak wiąz zanurzenie w wodzie.

Zgodziwszy się co do tych szczegółów, postanowiono, ponieważ powrotu pięknej pory przed upływem sześciu miesięcy nie można było oczekiwać, że Cyrus Smith i Pencroff zabiorą się zaraz i to sami do budowy statku. Gedeonowi Spilett zaś i Harbertowi, polecono dalej zajmować się łowami, a Nabowi i panu Jowowi nie opuszczać zajęć gospodarskich, które do nich należały.

Natychmiast po wybraniu drzew, ścięto je, oczyszczono i porżnięto na deski wzdłuż, jakby tego lepiej nie zrobili tracze z zawodu. W ośm dni potem, we wgłębieniu znajdującem się pomiędzy „dymnikami“ i murem stanął warstat okrętowy—i duża belka, trzydziesto pięcio stopowa, mająca stanowić podstawę podłużną statku, zaopatrzona w sztukę drzewa od przodu i od tyłu wyciągała się na piasku.

Cyrus Smith nie wziął się bynajmniej na ślepo do tego zadania. Budowa okrętów była mu tak znaną, jak prawie wszystkie inne rzeczy — i na papierze naprzód narysował sobie model statku. Zresztą, miał dzielną pomoc w Pencroffie, który będąc niegdyś przez lat kilka robotnikiem w warstatach okrętowych w Brooklyn, znał praktyczną stronę tego zawodu. Po ścisłem więc dopiero obliczeniu i dojrzałym namyśle przystąpili nasi pracownicy do swego przedsięwzięcia.

Pencroff, czemu każdy łatwo uwierzy, palił się do tej roboty i nie opuszczał jej ani na chwilę.

Jedyna operacja zdolną była go oderwać od warstatu i to tylko na jeden dzień. Był nią drugi zbiór zboża, odbyty 15. kwietnia. Udał się on tak dobrze, jak pierwszy i przyniósł proporcję ziarn z góry zapowiedzianą.

— Pięć miar! panie Cyrus — rzekł Pencroff — po skrupulatnem odmierzeniu swoich skarbów.

— Pięć miar — odpowiedział inżynier — licząc więc po sto trzydzieści tysięcy ziarn na miarę, da to sześćset pięćdziesiąt tysięcy ziarn.

— Tak!... No, to posiejemy wszystko na ten raz — zawołał marynarz — z zachowaniem jednakże małego zapasu.

— Słusznie, Pencroffie — a jeżeli przyszły zbiór przyniesie podobną proporcję, co dzisiejszy, będziemy mieli cztery tysiące miar.

— I będzie chlebek?

— Będzie.

— Ależ musimy wybudować młyn!

— Wybudujemy młyn.

Trzeci tedy zagon pod zboże wybrano bez porównania obszerniejszy od dwóch pierwszych, i ziemia przygotowana jak najstaranniej, przyjęła drogocenne nasienie. Co uskuteczniwszy, powrócił Pencroff do rozpoczętego dzieła.

Przez ten czas Gedeon Spilett i Harbert polowali w okolicach i zapędzili się dosyć głęboko w nieznane części boru Zachodniej Ręki, z bronią nabitą kulami, na przypadek nieprzyjemnego jakiego spotkania. Przed nimi rozwijała się nierozwikłana gęstwa drzew wspaniałych i ciasno skupionych, jak gdyby im brakło przestrzeni. Zbadanie tych mas drzewnych było nader trudnem i korespondent nie ważył się nigdy w nie zapuszczać, bez bussoli w kieszeni; słońce bowiem zaledwo przebijało się przez natłoczone gałęzie i byłoby trudno znaleźć wprost drogę.

Rzecz prosta, że zwierzyna była rzadszą w tych miejscach, kędy brakłoby jej było swobody ruchu. Troje jednakże trawożernych większego gatunku, ubili nasi myśliwcy w tej drugiej połowie kwietnia. Były to koulas'y, których próbkę napotkali już dawniej osadnicy na północy jeziora. Dały się one zabić głupowato pomiędzy grubemi gałęziami drzew, gdzie się schroniły. Skóry ich przyniesione do Granitowego Pałacu i przy pomocy kwasu siarczanego poddane wygarbowaniu, stały się zdatnemi do użytku.

Cenniejszym jednakże nabytkiem z innego względu było odkrycie, uczynione w jednej z tych wycieczek. Zaszczyt z niego należał się Gedeonowi Spilett.

Było to 30. kwietnia. Dwaj myśliwcy zapuścili się w południowo wschodnią stronę boru Zachodniej Ręki, gdy nagle korespondent, poprzedzający Harberta o pięćdziesiąt kroków, doszedł do rodzaju polanki, na której drzewa rzadziej rozstawione, pozwalały przedrzeć się promieniom słońca.

Pierwszą rzeczą, która tutaj zdziwiła korespondenta, był osobliwy zapach wydzielający się z niektórych krzewów o łodygach prostych, cylindrycznych i gałęzistych, na których zwisały kwiaty w gronach i bardzo maleńkie ziarnka. Wyrwał kilka z tych latorośli i powróciwszy do swego towarzysza rzekł:

— Zobacz no, Harbercie, co to takiego?

— A gdzie znalazłeś tę roślinę, panie Spilett?

— Tam, na polance, gdzie rośnie w wielkiej obfitości.

— Dowiedz się więc, panie Spilett — rzekł Harbert — że jest to odkrycie zapewniające ci wieczystą wdzięczność Pencroffa!...

— Byłżeby to tytoń?

— Tak jest. Chociaż nie pierwszego gatunku, ale zawsze tytoń!...

— Ach!... ten poczciwy Pencroff! Tożto się ucieszy! No, ależ on nie wypali wszystkiego, do djabła, i dla nas coś przecież zostawi!...

— Ach, co za myśl, panie Spilett — zawołał Harbert. — Nie mówmy nic Pencroffowi, zostawmy sobie czas do przyrządzenia tych liści

a jednego pięknego poranku podajmy mu fajkę, nabitą po sam wierzch!

— Zgoda, Harbercie, a tego dnia nasz zacny towarzysz niczego już więcej nie będzie pragnął na tym świecie!

Korespondent i Harbert zrobili porządny zapas drogocennej rośliny i powrócili do Granitowego Pałacu, kryjąc swoją zdobycz tak ostrożnie, jak gdyby to była kontrabanda, a Pencroff najokrutniejszym z celników.

Cyrusa Smitha i Naba przypuszczono do tajemnicy. Marynarz zaś ani podejrzywał niczego, przez cały ten długi czas, jakiego było nieodzownie potrzeba do wysuszenia owych cienkich listków, siekania ich i upalenia na gorących kamieniach. Trwało to przez dwa miesiące i nie zwróciło uwagi Pencroffa, tak bowiem był zajęty robotą statku, iż powracał do Pałacu Granitowego tylko w godzinach pożywienia.

Raz jeszcze jednakże, pomimo wszystkiego, ulubiona praca jego została przerwaną, przygodą rybacką, w której wszyscy osadnicy wzięli gorący udział.

Od kilku dni zauważali na morzu, o trzy lub cztery mile odległości, olbrzymie zwierzę pływające na wodach wyspy Lincolna. Był to wieloryb, największego wzrostu, prawdopodobnie należący do gatunku australskiego, zwanego „wielorybem przylądkowym.“

— Cóżby to była za gratka dostać go w ręce! — zawołał marynarz. — Ach, gdybyśmy mieli jaki taki statek i harpunę w dobrym stanie, z jakimże zapałem, zawołałbym: Pędźmy za nim, bo wart zachodu!

— Jaka szkoda, Pencroffie — rzekł Gedeon Spilett — i ja prawdziwie byłbym rad widzieć cię używającego harpuny. Ciekawa to rzecz być musi?

— Ciekawa i nie wolna od niebezpieczeństwa — rzekł inżynier — ponieważ jednak nie mamy środków do uderzenia na to zwierzę, na nic się nie zdało niem zajmować.

— Dziwno mi—odezwał się korespondent— widzieć wieloryba pod tak względnie wysoką szerokością jeograficzną.

— A cóż w tem dziwnego, panie Spilett — odrzekł Harbert. — Znajdujemy się właśnie w tej części Oceanu Spokojnego, którą rybacy angielscy i amerykańscy nazywają „Whale-Field“ (Wielorybie pole) i tutaj to właśnie, pomiędzy Nową Zelandją a Ameryką południową, wieloryby półkuli południowej, najliczniej się spotykają.

— Najprawdziwsza prawda — rzekł Pencroff — i mnie tylko to dziwi, żeśmy ich więcej dotąd nie widzieli. Zresztą, ponieważ nie możemy się do tego hultaja zbliżyć, nie mówmy już o nim!

I marynarz powrócił do swojej pracy, nie bez głębokiego westchnienia żalu, bo w każdym marynarzu siedzi rybak, a jeżeli roskosz rybołowstwa pozostaje w prostym stosunku do wielkości zdobyczy, wystawić sobie można, co czuje wielorybnik w obec wieloryba!

I gdyby to tylko chodziło o roskosz! Ale nie było nikomu tajnem, że podobna zdobycz przyniosłaby znakomitą korzyść osadzie, oliwa bowiem, tłuszcz i fiszbin zdałyby się były na tyle rzeczy!

I oto zaszedł ten szczególny wypadek, że spostrzeżony wieloryb widocznie uparł się nie opuścić wód wyspy. Czy to więc z okien Pałacu Granitowego, czy z wielkiej Terasy, Harbert i Gedeon Spilett, nie będąc na polowaniu, Nab, mimo całego zajęcia swoją kuchnią, nie puszczali z rąk lunety i obserwowali wszystkie ruchy zwierzęcia. Wieloryb głęboko zapędziwszy się w obszerną zatokę Unji, przerzynał ją szybko od przylądka Szczęki aż do przylądka Ostrego Szponu, popychając się swoją płetwą ogonową, olbrzymio potężną, na której oparty, poruszał się w podskokach z szybkością dochodzącą niekiedy do dwunastu mil na godzinę. Czasami także zbliżał się tak do wysepki, że można mu było przyjrzeć się dokładnie. Był to rzeczywiście wieloryb australski, całkiem czarny, z głową bardziej spłaszczoną niż u wielorybów północnych.

Widzieli go także wyrzucającego przez dychawki na znaczną wysokość obłok pary... czy wody, ponieważ — jakkolwiek dziwnem to się zdaje — przyrodnicy i wielorybnicy nie zgodzili się jeszcze pod tym względem: woda to, czy powietrze, które zwierzę w ten sposób z siebie wyrzuca?

Ogólnie przypuszczają, że to para, która zgęściwszy się przy nagłem zetknięciu z chłodnem powietrzem, opada w postaci deszczu.

Bądź co bądź, jednak obecność tego ssaka zajmowała osadników. Drażniło to szczególniej Pencroffa i nabawiało go roztargnienia przy robocie. — W końcu nabrał takiej chętki do tego wieloryba, jak dziecko do przedmiotu, którego mu odmawiają. W nocy, marzył o nim głośno, i zaprawdę, gdyby miał jakikolwiek środek do pogoni za nim, gdyby szalupa zdolna była utrzymać się na morzu, byłby się nie wahał ani chwili.

Czego jednakże osadnicy nie mogli dokonać, dokonał za nich przypadek. Trzeciego maja okrzyki Naba, stojącego przy oknie w kuchni, obwieściły że wieloryb osiadł na płaszczystem wybrzeżu wyspy.

Na tę wieść Harbert i Gedeon Spilett, wybierający się na polowanie, porzucili strzelby, Pencroff puścił z rąk siekierę, Cyrus Smith i Nab połączyli się z nimi i wszyscy razem skierowali się pędem ku wybrzeżu.

Wieloryb osiadł na wybrzeżu o trzy mile od Pałacu Granitowego i przy pełnem morzu.

Prawdopodobnem tedy było, że nie łatwo zdoła się z krytycznej owej pozycji wydobyć.

W każdym razie jednak należało się spieszyć, dla przecięcia mu odwrotu w razie potrzeby.

Biegli więc co tchu z drągami i oszczepami, przebyli most na Dziękczynnej, zeszli z prawego brzegu rzeki, weszli na piaski nadmorskie i najdalej w dwadzieścia minut potem, znaleźli się przy olbrzymiem zwierzęciu, nad którem roiły się już całe stada ptactwa.

— Co za potwór! — zawołał Nab.

I wyrażenie to miało słuszność po sobie — był to bowiem wieloryb australski, długi na dwadzieścia cztery stóp, olbrzym w swoim rodzaju, ważący niewątpliwie najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy funtów!...

Rzecz dziwna jednakże — nie poruszał się i nie próbował dostać się do wody, przy pełnem jeszcze morzu!...

Osobliwość ta wyjaśniła się wkrótce osadnikom, gdy po odpływie obeszli zwierzę naokoło.

Wieloryb nie żył już. Z prawego boku wystawała mu harpuna.

— Znajdują się więc wielorybnicy w tych stronach?... odezwał się Gedeon Spilett, ujrzawszy harpunę.

— A to czemu?... — spytał marynarz.

— Ponieważ ta harpuna trzyma się dotąd jeszcze w boku zwierzęcia.

—E! panie Spilett, to niczego nie dowodzi,— odparł Pencroff. Widziano wieloryby robiące tysiące mil drogi z harpuną w boku i choćby ten ugodzony był na północy Atlantyku, a przyszedł poledz tutaj na południu Oceanu Spokojnego — nicby w tem dziwnego nie było.

— Jednakże... — zaczął Gedeon Spilett, którego słowa Pencroffa nie zadowalały.

—Rzecz to najzupełniej możebna, odrzekł Cyrus Smith, obejrzyjmy jednak tę harpunę. Może być, że wedle rozpowszechnionego obyczaju, wycięli na niej imię swojego okrętu?

I w istocie Pencroff wyrwawszy harpunę z boku wieloryba, odczytał na niej następujący napis

Maria Stella
Vineyard. (*)

— Okręt z Vineyard! Okręt z mojego kraju! — zawołał marynarz.

—*Maria-Stella!* Pyszny wielorybnik na honor i który znam wybornie. Ach moi przyjaciele, statek z Vineyard, wielorybnik z Vineyard!

I poczciwy Pencroff, potrząsając harpuną, powtarzał nie bez wzruszenia to imię, zrosłe z jego sercem, imię rodzinnej swojej strony!...

Ponieważ jednak nie można się było spodziewać, aby Maria Stella przybyła upomnieć się o swoją zdobycz, postanowiono tedy przystąpić do rozćwiartowania zwierzęcia, zanim rozkładać się pocznie. Drapieżne ptactwo, czatujące już od kilku dni na tę bogatą pastwę, chciało już, nie zwlekając dłużej, wejść w posiadanie jej i potrzeba było strzałów — aby je odpędzić.

Wieloryb ten był samicą i wymiona jego dostarczyły znacznej ilości mleka, które wedle zdania przyrodnika Dieffenbacha, może ujść z łatwością za mleko krowie, nie różni się bowiem od niego ani smakiem, ani barwą, ani gęstością.

Pencroff służył niegdyś na statku łowiącym wieloryby i ztąd mógł metodycznie pokierować operacją rozczłonkowania zwierzęcia — operacją dosyć nieprzyjemną i trzydniową, przed którą jednak nikt z osadników się nie cofnął, nawet Gedeon Spilett, który wedle zdania marynarza, koniec końców będzie mógł zostać „bardzo dobrym rozbitkiem.“

Tłuszcz, pocięty na szmaty równoległe, dwie i pół stopy grube, a potem podzielony na części mogące ważyć każda po tysiąc funtów, stopiono w wielkich glinianych naczyniach sprowadzonych na samo miejsce operacji; nie chciano bowiem zapowietrzać pobliża Wielkiej Terasy. Massa tłuszczowa w przetopieniu straciła trzecią część swej wagi.

Było jej jednak i tak niezmiernie wiele: sam język dał sześć tysięcy funtów tranu a warga niższa cztery tysiące.

Dalej, oprócz tego tłuszczu, który zapewniał na długo zapas stearyny i gliceryny, znalazł się jeszcze i fiszbin, mogący się niewątpliwie przydać, pomimo, iż parasole i gorsety nie były w używaniu w Pałacu Granitowym. Część wyższa paszczy wieloryba opatrzoną była z obu stron w ośmset taśm rogowych, bardzo elastycznych, chrząstkowego składu, zaostrzonych przy końcach, jak dwa wielkie grzebienie, których zęby długie

*) Port w Stanie Zjednoczonym Nowojorskim.

na sześć stóp, służą do przytrzymywania tysiąców żyjątek, małych rybek i molusków, stanowiących zwykłe pożywienie wieloryba.

Po ukończeniu tej operacji ku wielkiemu zadowoleniu operatorów, szczątki zwierzęcia zostawiono ptakom, które zapewne śladu z nich nawet nie zostawiły — i powrócono do zwyczajnych zajęć w Pałacu Granitowym.

Jednakże, przed wejściem jeszcze do warsztatu okrętowego, przyszło Cyrusowi Smithowi na myśl zrobić rodzaj pastek, które wzbudziły żywą ciekawość w jego towarzyszach. Wziąwszy z tuzin fiszbinów, pociął je na sześć równych części i zaostrzył na końcach te kawałki.

— A to, panie Cyrus, — spytał Harbert po dokonaniu tej czynności — a to, do czego się przyda?...

— Do zabijania wilków, lisów i nawet jaguarów — odpowiedział inżynier.

— Teraz?

— Nie, tej zimy, gdy będziemy mieli lód pod ręką.

— Nie rozumiem... rzekł Harbert...

— Zaraz zrozumiesz, moje dziecię — odrzekł inżynier. Pastka ta nie jest moim wynalazkiem. Używają jej nader często myśliwcy aleuccy w Ameryce rossyjskiej.

Widzicie te fiszbiny, moi przyjaciele — otóż, gdy przyjdzie mróz, zagnę je, obleję wodą i wystawię na mróz, ażeby gruba warstwa lodu okryła i wzmocniła to zagięcie. Potem rozrzucę je po śniegu, pokrywszy je jeszcze poprzednio warstwą tłuszczu.

Cóż się zdarzy, jeżeli zgłodniałe zwierzę jakie połknie jednę z tych pastek? Oto ciepło jego żołądka roztopi lód, a fiszbin nagle wyprężony, zaostrzonemi swemi końcami na wskróś je przebije.

— To mi pomysł co się nazywa!—zawołał Pencroff.

— I który zaoszczędzi nam kul i prochu— odrzekł Cyrus Smith.

— To więcej warte niż doły!... dodał Nab.

— Czekajmy więc zimy!

— Czekajmy zimy.

Wśród tego budowa statku posuwała się wciąż naprzód i przy końcu miesiąca, odyłowanie było już na pół gotowe. Można już było poznać, że formy statku będą wyborne do użytku na morzu.

Pencroff pracował z niezrównanym zapałem i potrzeba było zaiste jego potężnej natury do oparcia się tylu trudom. Ale towarzysze przygotowali mu w tajemnicy nagrodę za tyle mozołu, i 31go maja, nasz marynarz miał doznać jednej z największych roskoszy w swojem życiu.

Dnia tego, przy końcu objadu, w chwili gdy Pencroff podnosił się od stołu, uczuł, że czyjaś ręka opiera mu się na ramieniu.

Była to ręka Gedeona Spiletta, który rzekł:

— Chwilkę jeszcze mistrzu Pencroffie, — tak się nie odchodzi. A o deserze zapominasz?

— Dziękuję, panie Spilett, odrzekł marynarz — czas wracać do pracy.

— No!... jeszcze filiżankę kawy, przyjacielu...

— Dziękuję...

— A więc fajeczkę?...

Pencroff podniósł się nagle i szeroka poczciwa twarz jego pobladła, gdy ujrzał korespondenta podającego nabitą po wierzch fajkę a Harberta z węglem żarzącym się w ręku.

Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, tylko nagle pochwycił fajkę, poniósł ją do ust a potem położywszy na niej węgiel, zaciągnął się raz po raz pięć czy sześć razy.

Błękitny i wonny kłąb dymu rozszedł się, a z głębi tego obłoku usłyszano drżący roskosznie głos, powtarzający...

— Tytuń! prawdziwy tytuń!

— Tak jest Pencroffie — odrzekł Cyrus Smith — i nawet wyborny tytuń!

— O boska Opatrzności! Stwórco potężny wszystkich rzeczy! — zawołał marynarz. Nie braknie więc już niczego na naszej wyspie!...

I palił, palił, palił!

— I któż zrobił to okrycie? — spytał wreszcie. Ty zapewne, Harbercie?

— Nie, Pencroffie — to pan Spilett.

— Pan Spilett! — wykrzyknął marynarz, przyciskając do piersi swoich korespondenta, któremu nigdy nie zdarzyło się być tak uściśniętym.

— Uf!... Pencroffie, — zawołał chwytając oddech, utracony na chwilę. Udziel cząstkę twojej wdzięczności Harbertowi, który rozpoznał tę roślinę, Cyrusowi, co ją przyrządził i Nabowi, któremu tak trudno było utrzymać tę całą sprawę w tajemnicy...

— Odpłacę wam to kiedyś, moi przyjaciele! — odrzekł marynarz. — Teraz to już pomiędzy nami związek na życie i śmierć!... (C. d. n.)

POGADANKI.

XLV.

Piękną bardzo uroczystością skończył się u nas październik, a piękną także rozpoczął się listopad. Po wielu latach, wszedł nakoniec w życie zakład Stanisława hr. Skarbka w Drohowyżu, którego urządzenie opóźnionem zostało dzięki długiej obcej opiece nad fundacją. Do niedawna jeszcze, część jej dochodów obracaną była na utrzymywanie teatru niemieckiego we Lwowie, a były i takie czasy, gdzie po kilkadziesiąt tysięcy rocznie brano z funduszów skarbkowskich na wsparcie dla germańskiej muzy. Dopiero pod zarządem krajowym, i pod kontrolą opinji publicznej, natarczywą czasem i niemiłą, ale zawsze zbawienną, przyszło do skutku to dzieło, które równego sobie szuka nietylko w Polsce, ale w całym świecie. W istocie, nie ma nigdzie zakładu przeznaczonego do rozwijania dobroczynnej działalności w takich obszernych rozmiarach, a pod względem uposażenia, fundacja śp. Skarbka stanąć może nawet obok instytucyj angielskich, dysponujących jak wiadomo, olbrzymiemi zasobami pieniężnemi. Wartość majątku zakładowego, oceniona urzędownie na 3 miljony zlr. jest znacznie większą, i zdaniem niektórych, dochodzi do 5 miljonów. Jest z czego wychowywać sieroty, uczyć je rzemiosł i kierować na użytecznych członków społeczeństwa. Przytem, nazwisko dyrektora, p. Juljusza Starkla, daje nam rękojmię, że wola wspaniałomyślnego fundatora wykonaną będzie sumiennie i z istotnym pożytkiem dla pięknego celu.

Dnia 24. zm. odbyło się uroczyste otwarcie zakładu, na które zaproszono mnóstwo gości ze Lwowa, i z którego pisma codzienne obszernie zdały sprawę. Z mów, któreśmy czytali — bo nie wszyscy zaproszeni mogli osobiście wziąć udział w uroczystości — najbardziej uderzyła nas formą i treścią mowa dr. Juljusza Czerkawskiego, bez wątpienia jedna z najpiękniejszych mów „okolicznościowych,“ z jakiemi spotkaliśmy się w tych czasach. Ale też i przedmiot był wdzięczny, bo wszystkich serca łączyły się z mowcą w oddaniu czci pamięci fundatora, i w uczuciu dumy, że naród nasz wydaje takich mężów. Była to, nawiasem mówiąc, jedna z tych sposobności, przy których demokracja nagle przejmuje się niezwykłym pietyzmem dla starych tradycyj, podczas gdy w szeregach arystokracji widać tu i ówdzie niezadowolone twarze, bo nie każdemu miło słyszeć przypomnienie hasła: *Noblesse oblige*. To też, gdy dr. Czerkawski, zręcznie łącząc przedmiot uroczystości z klejnotem herbowym rodziny Skarbków, wołał: *Hab'Dank!* szlachetny Mężu! — zapewniają, iż gdzieniegdzie purpury żółkły z niechęci. Zamiast irytować się, lepiejby było dać „złoto do złota,“ a my, co nie mamy złota, oklasków przynajmniej i wdzięczności skąpić nie będziemy. Tymczasem wszakże, lwowski organ świętopietrza zemścił się na dr. Czerkawskim za to podniesienie ludzkich zasług śp. Skarbka, nazywając jego mowę czczą deklamacją. Prawda, że za to, co kosztuje utrzymanie jednej sieroty w Drohowyżu, kardynał Antonelli mógłby sprawić sobie żuawa z całym rynsztunkiem, i jeszczeby się zostało na mszę, na intencję nawrócenia *Tygodnia* do wiary w zbawienność palenia kacerzy na stosie, lub ucinania im głowy.

Na początku ubiegłego tygodnia, mieliśmy we Lwowie zjazd ochotniczych straży pożarnych, w celu założenia związku tych pożytecznych instytucyj w całym kraju. Z 53 miast i miasteczek pojawili się delegaci i ochotnicy. Z Białej tylko odpowiedzieli koloniści zachodni, iż nie mają „czasu.“ Natomiast przybyli goście z Czerniowiec, i maszerowali w jednej kolumnie z naszymi ochotnikami. Pytam się teraz, czy nie potwierdza to mojego zdania, że my powinniśmy przejąć się, na wzór naszych zachodnich sąsiadów, nieprzepartym „*Drang nach Osten?*“

Bardzo pięknie prezentowali się ochotnicy w mundurach i błyszczących hełmach. Z gminu dawały się słyszeć głosy, że to „najpiękniejsze wojsko.“ Najpiękniejsze, i najpożyteczniejsze, bo gasi pożary, zamiast je wzniecać, i ocala życie, zamiast je odbierać. Mogą wszelako i straże ochotnicze stać się powodem zabójstwa i pożogi, osobliwie za pomocą swojego Związku. Związek ten zabije smoka obojętności na dobro ogółu, i wznieci płomień poczucia obywatelskiego w najodleglejszych zakątkach kraju. Gdybym miał w tej chwili pod ręką inny płyn, prócz atramentu, wychyliłbym *post festum* pełną czarę i wygłosiłbym toast na tę śmierć, i na ten pożar!

Jednym z celów związku jest zaprowadzenie pewnej jednolitości w komendzie, w sygnałach, w przyborach, w tem wszystkiem w ogóle, co służy do wykonywania celu, dla jakiego zawiązują się straże ochotnicze. Jednolitość ta jest pożądaną, a nawet niezbędną, z tego mianowicie powodu, iż ochotnicy w szeregach swoich mają najwięcej młodzieży, która często przenosi się z miejsca na miejsce w swoim kraju rodzinnym, nim osiadlszy gdzieś stale, i podtatusiawszy, przejmie się owym praktykularyzmem, który w Stanisławowie spogląda z ukosa na centralistę lwowskiego, a w Brzeżanach nienawidzi cudzoziemskich obyczajów tarnopolskich. Któż, jeżeli nie młodzież, zdoła z pominięciem takich uprzedzeń stanąć „ramię do ramienia,“ i ogarnąć jedną, wielką miłością cały kraj ojczysty, nie dając pierwszeństwa temu lub owemu zakątkowi, temu lub owemu miastu? W związku ochotniczych

straży pożarnych witamy jeden z pierwszych zadatków przyszłej naszej, a daj Boże, ogólnej solidarności narodowej.

Wracam jeszcze do Czerniowiec, w ślady za p. Karolem Emilem Franzosem, który jak wiadomo, przejeżdżając tam przez Galicję, nazwał nas Pół-azjatami, i dopiero za Śniatynem odkrył niejakie elementa europejskiej kultury. Głównie gniewali go w Galicji żydzi, i wymyślał im też w *Nowej Pressie* tak bardzo, że aż ściągnął na siebie podejrzenie *Dziennika Polskiego*, jakoby tym sposobem chciał wmówić w świat, że sam albo nie jest galicyjskim żydem, albo też wyrósł tylko w jakim tutejszym kahale jak szlachetna kukułka w gnieździe dudków, niebezwonnych jak wiadomo, ale też i nieszkodliwych ptaszą t. Otóż, z niemałą satysfakcją, przeczyta zapewne każdy w piśmie lwowskiem *Der Israelit*, korespondencję z Jas, w której niejaki dr. Lippe daje zasłużoną odprawę p. Franzosowi, i dziwi się jakim sposobem „*ein ungetaufter Jude aus Czortkow*“ poważył się uderzać na Rumunów, Polaków i Żydów całym szeregiem zmyślonych zarzutów. Dr. Lippe powiada, że Galicja dla tego chyba wydaje się p. Franzosowi Azją, bo chyba Azja może wydać indywiduum tak dalece pozbawione i jakiegokolwiek uczucia narodowego, i miłości prawdy. Skoro więc już nawet *Der Israelit* wziął się dn p. Franzosa, my możemy mu dać pokój i oczekiwać z flegmą, co też *Nowa Presse* znajdzie nowego do opowiedzenia o Galicji przy najbliższej sposobności.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

(Dokończenie).

(*Kilka słów o M. K. Sarbiewskim, szczególnie w stosunku jego do Horacyusza. Podał L(eon) K(ulczyński), nauczyciel gimnazjum św. Anny. Kraków. Sprawozdanie dyrektora c. k. gimnazjum Nowodworskiego czyli św. Anny. 1875.*)

Z pomiędzy stosunków społeczeńskich najważniejszym i najpiękniejszym jest stosunek przyjaźni. Zaznacza w swojej rozprawie p. K. że Horacy lepiej pojmował ten związek dusz od Sarbiewskiego. Okoliczność ta wywołuje pytanie, czy polski poeta, ubogi zakonnik, miał przyjaciół takich, jak ulubieniec Mecenasa? Co do Sarbiewskiego przychodzi tu na myśl Stanisław Łubieński, owoczesny biskup płocki; ale stosunki towarzyskie obu, pozbawione równości, nie mogły stworzyć podstawy do serdecznej, wylanej przyjaźni.

Najciekawszem wszelako jest stanowisko obu poetów wobec kraju i narodu. Horacy, podług zdania autora rozprawy, o której mówimy, był w całem tego słowa znaczeniu poetą narodowym. Widział on ojczyznę swoją panią całego prawie wówczas znanego świata, a widok ten napawał go dumą. Ale patrzał on także na zepsucie obyczajów, szerzące się u współobywateli, i na wewnętrzne rozterki, a to wszystko zniewalało go do podnoszenia wielkiego głosu upomnienia i przestrogi. Horacy zatem „zrósł się z swoim krajem, cierpiał jego bole i cieszył się jego szczęściem.“ W innem położeniu był pod temi względami nasz Sarbiewski. Ojczyzna jego zajmowała za jego czasów wprawdzie jeszcze wybitniejsze w świecie stanowisko, nie obejmowała jednak świata, jak Rzym za czasów Horacego. Nie mógł więc zdaniem pana K. nasz poeta wznieść się do tej wysokości poglądu wobec swego kraju, na jakiej stał niegdyś mistrz jego, Horacy. Wprawdzie nie był obojętnym na to, co się działo w Polsce, powstając na wady owoczesne, jak np. na wystawność strojów rycerskich, na pochopność do zwad i niezgodę, a upominając do męztwa; ale w tych i innych pieśniach naszego poety, dotykających bądź stosunków ojczystych, bądź też wybitniejszych postaci narodowych, upatruje p. Kulczyński pewien chłód uczucia, pewną sztywność. „Sarbiewski — powiada — spłacał niemi tylko konieczny dług ojczyznie, nie tyle z własnego popędu, ile rachując się ze stosunkami, folgując upomnieniom Łubieńskiego, ulegając ogólnemu głosowi, przed którym nie mógł się zamknąć.“ Podczas gdy dla Horacego Rzym był panem świata, zdawali się być nimi Sarbiewskiemu papież Urban VIII i w pewnym względzie także Ferdynand II. Pisząc o nich, okazuje poeta polski więcej zapału, choć także tylko sztucznego, niż gdy wspomina np. o Zygmuncie III, lub Władysławie IV. Autor rozprawy po tem wszystkiem sądzi go surowo za to, że nie pojął dziejowej misji swego narodu w obronie chrześcijaństwa i wolności, lecz stanął niefortunnie na stanowisku kosmopolitycznem. W tym sądzie swoim posuwa on się aż do twierdzenia, „że Sarbiewski, cokolwiekby na usprawiedliwienie jego nawet powiedzieć można, ostatecznie nie był poetą narodowym w prawdziwem tego słowa znaczeniu“ (str. 47.) Wyrok to okropny — i gdyby miał być kiedy zatwierdzonym w historji piśmiennictwa przez sędziów bezstronnych i głosami zgodnemi, wówczas do ciemnej przepaści spadłaby jedna z najpierwszych gwiazd klasycznego polskiego Parnasu!...

Ale czy sąd taki zupełnie słuszny? Czy wypłynął z głębokiego znawstwa dziejowych i literackich stosunków owego społeczeństwa, na które ma się choćby tylko pośrednio rzucić straszne owe anathema braku miłości ojczystego kraju, a nawet narodowości; czy wypłynął wreszcie z serca, które choć tak potępia, przecież kocha i boleje?... to inne pytanie. Nie możemy się zapuszczać w bliższe objaśnienie naszego zdania w tej kwestji, bo to wymagałoby obszerniejszej i gruntowniejszej rozprawy, niż ta, którą nam dał p. Kulczyński, a z której tutaj tylko sprawę zdajemy. Nie możemy wszelako wstrzymać się od uczynienia uwagi autorowi, że pojmowanie podniosłego stanowiska narodu naszego wobec chrześcijaństwa i wolności, aczkolwiek to posłannictwo spełniało się przez wieki i spełnia, w teorji sformułowanem zostało dopiero za dni naszych, kiedy Polska pozbawiona samodzielności politycznej, a zatem także swobodnego w tym kierunku działania, wszystkie siły swoje skupiła i wytężyła na polu pracy duchowej; kiedy poczęła badać dziejowe zadanie ducha narodu i z tego punktu widzenia oceniać swoją przeszłość. Dopiero więc za dni naszych przyszedł czas na różne w różnych kwestjach teorje i sądy.

Wspominamy obszerniej o rozprawie p. Kulczyńskiego, rozbierającej utwory jednego z najcelniejszych poetów naszej Złotej Epoki, bo pragniemy, ażeby na Sarbiewskiego uczeni znawcy klasycznej poezji naszej, baczniejszą zwrócili uwagę. Wiemy z doniesień dziennikarskich i zkąd inąd, że tutejszy profesor gimnazjalny, p. Krystyniacki, przygotowuje wyczerpujące studjum o tym naszym pisarzu. Odszukał on niedrukowany jeszcze dotęd nigdzie rękopis prac poetycznych Sarbiewskiego, które jak słyszeliśmy znakomicie wzbogacą znane już z różnych wydań utwory. Prócz tego napisał obszerny życiorys poety, oparty na dokumentach dotąd niezużytkowanych. Spodziewamy się, że życiorys ów zawierać będzie dokładną i sumienną krytykę Sarbiewskiego jako pisarza, i ukaże go czytelnikom polskim na stanowisku właściwem, wolnem od kadzideł bałwochwalstwa, lecz wolnem także od uprzedzenia. Praca prof. Krystyniackiego, o której wspominamy, znajdzie miłe przyjęcie u wszystkich miłośników ojczystej literatury.

A. —

Listy z Krakowa.

Kraków d. 1. listopada 1875.

Zima nadchodzi, a z nią jakaś radość dla nas, biednych literatów, którzy już teraz możemy wieczorem rozerwać się teatrem, w dzień pogadać o naszym nowym utworze z wydawcą, i ucieszyć się niezmiernie, jeżeli tenże przyrzecze, że żadnej dopłaty nie pragnie i nadto dwa egzemplarze ofiaruje!.... Możemy przechadzać się po ulicy, wprawdzie pod parasolem, jeżeli go mamy, lecz bez obawy, by nas nie oblano konewką wody w celu ochłodzenia asfaltowego chodnika, a za to z nadzieją, że spotkamy jakiego znajomego, przyjaciela lub przyjeżdzającego. Miasto roi się od nowo przybywających, od szukających apartamentów Wołyniaków i od prawników, teologów i filozofów, którzy z rozpoczynającemi się wykładami na gwałt szukają izdebek, książek, lekcyj i protekcyj. Tak dużo, tak wiele i tyle pięknych, wzniosłych rzeczy mamy wam do doniesienia kochani Lwowianie, że nie wiemy od czego zacząć, z czem najpierw się pochwalić.

Ale prawda, najprzód musimy wam kilka zrobić wyrzutów, i razem z poczciwym *Czasem* zapytać, dla czego na nas narzekacie, dla czego nas obgadujecie i wreszcie dla czego mówiąc o nas — zawsze prawdę piszecie?

Tego pytania nasze dziennikarstwo wam nie zadało, lecz że jest słusznem, może przyznacie. Mówię o dziennikarstwie, zapomniawszy, że go w Krakowie nie ma; jest dziennik tylko, znany mecenas *Czas*; *Kroniczka* znikła obiecując, że się pragnie zamienić na pismo polityczne, a tego miesiąca przerwy zapewne pragnie użyć na obznajomienie się ze sprawami politycznemi i nagromadzenie pewnego zasobu wiadomości, by nie być posądzoną, że z *Czasu* wypisuje lub też odwrotnie.

Skoro już mówię o dziennikach, to oznajmiam, że *Przegląd krytyczny* dotąd wydawany przez księgarnię Otremby, przechodzi na własność księgarni Gebethnera, który go nadal poleca szczególnie WW. duchowieństwu.

Biedne te nasze pisma! tak jak źli lokaje, nigdy długo u jednego pana pozostać nie mogą, znudzi im się i dalej w drogę, a gdy się bardzo skompromitują, to zmieniają minę i nazwisko, i szukają dalej chleba, póki marnie nie zginą.

Już blisko miesiąc jak się radujemy na nowo urządzonym teatrem; podziwiamy nowe talenta, obsypujemy oklaskami nowe aktorki, debiutujące na naszej dawnej scenie.

Dyrekcja obiecuje nam niestworzone rzeczy: nietylko nowe komedyjki i operetki, ale nowe dramaty i tragedje. Mają grać Mieczysława uwieńczonego przez smutnej pamięci konkurs przeszłoroczny, obiecują nam, że p. Ładnowski, ma w tym celu do nas zawitać, zagrać, oczarować i wyjechać! — po który raz z naszego tak go kochającego miasta?

Przedstawiano *Niewinnych*, którzy jednogłośnie uzyskały pochwały, a p. Mien, tłumacz poezyj Słowackiego, który ma tłumaczyć nowsze powieści Kraszewskiego, przyrzeka i *Niewinnych* na język francuski przełożyć z silnem przekonaniem, że nawet w wybrednym Paryżu dramat ten znajdzie zwolenników. Pani Parżnicka, ulubiona nasza artystka wystąpiła tego roku w hrabin *René* i jak zawsze podobała się ogólnie, bez wyjątków.

Mniejszego używała powodzenia *Przezorna Mama* Blizińskiego, ale za to podobała się niesłychanie nie wiem po raz już który pojawiająca się córka pani *Angot*.

Soulié'go *Chata pod lasem*, sztuka przepełniona scenami efektownemi, najróżniejszego rodzaju zawikłanemi intrygami, smętna i rzewna, pełna *qui pro quo* i rozczulających epizodów, umiała już dla tego samego bardzo się podobać, bo przecież zachwycała Francuzów i rozczulała nie tkliwe nawet Paryżanki!

Co do gry artystów i artystek to trudniej nam będzie coś stanowczego orzec. Pani Hoffman i Parżnicka mają tę doskonałą zaletę, że nie przyjmują ról, tylko te, o których z doświadczenia wiedzą, że dobrze je odegrają, lecz innym nie wolno tak wybierać według upodobania. Przywilej ten mają tylko więksi krakowskiej sceny artyści, jak pp. Eker i Szymański, pani Hoffman i Parżnicka. Uważamy, że role źle są rozdawane, aktorzy muszą występować w rolach zupełnie nie odpowiadających ich talentowi, zkąd pochodzi, że trudno ich poznać, a jeszcze trudniej ocenić. I tak np. w *Chacie pod lasem* p. Sobiesław w roli młodego d' Extéve wiele stracił; czujemy, że to rola nie dla niego, bolejemy nad nim, że musi udawać sentymentalnego kochanka, do czego nam zdaje się nie mieć powołania. Nic nie ma przykrzejszego dla widza jak patrzeć na aktora w roli dlań niestosownej.

Pani Kwiatyńska, lat temu parę występująca na nasnej scenie, w której upatrywaliśmy podobieństwo do nieodżałowanej Modrzejowskiej, używa powodzenia; w *Chacie pod lasem* miała rolę dla siebie korzystną. *Szkice* nazwały ten dramat efektowną lepianką, z czem byśmy się może nie zgodzili, że efektowny to niezaprzeczenie, lecz czy lepianką? to pytanie, ale natomiast z pomocą słownika zgodzić się musimy, że *Afisz*, dyrekcja i *Czas* lekceważą język francuski i nawet w tytułach myłki popełniają.

Dość może będzie o tym teatrze, którym się nacieszyć nie możemy i to do tego stopnia, że z uwielbieniem prawie spoglądamy na każdego artystę, choćby spacerującego po ulicy, bo zaraz nam błoga myśl przychodzi, że to jest jeden z jedynych, którzy nas czasem raczą zabawić, i wznoszą po nad ten padoł płaczu!

Wykłady akademickie już się rozpoczęły; młodzież garnie się po oświatę, udzielaną im hojną dłonią. Miejsce Józefa Kremera objął dr. Straszewski, tymczasowo wprawdzie, lecz mamy nadzieję, że tę katedrę stale obejmie; hr. Stanisław Tarnowski wykłada o literaturze w XVI wieku, dla publiczności historję romansu, a dr. Bratranek „Geschichte des deutschen Drama."

W niedzielę 24 października odbyło się walne zgromadzenie Towarzystwa pomocy wzajemnej uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego w „collegium juridicum." Posiedzenie było dość spokojne, przerywane oklaskami, podnoszeniem rąk, rozstępowaniem się na dwie strony, głosowaniem, mowami i dzwonieniem wreszcie. Obrano prezesa, wice-prezesa, podskarbiego i innych dostojników, po większej części z wydziału prawa, z czego tryumfują prawnicy. Wyszło sprawozdanie komitetu, z którego dowiadujemy się, że stan majątkowy chlubnego tego stowarzyszenia z końcem upłynionego roku wynosił 32.404 guld. 78½ cnt. Jest to sumka nieposlednia, którą wiele można czynić dobrego. Dr. Zoll, rektor uniwersytetu, który od początku istnienia stowarzyszenia młodzieży, wielką dlań okazuje sympatję, przemawiał za gorliwem jego popieraniem, by towarzystwo nie było zmuszonem szukać pomocy po za uniwersytetem.

W. Ł.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Karol Kaczkowski. 1808 — 1831. Wspomnienia z papierów pozostałych po ś. p. Karolu Kaczkowskim, generał sztab-lekarzu wojsk polskich. Ułożył Tadeusz Oksza Orzechowski — Lwów — Tom. I. II. 8o.

Pamiętniki osób, zajmujących wybitne w społeczeństwie naszem stanowiska, spisywane wśród różnorodnych chwil przeszłości, są jedynie zdolne dać nam wierny obraz życia narodowego. Pamiętniki są niejako kroniką czasów z których pochodzą, zbiorem żywych historycznych materjałów, któremi późniejsi badacze rozjaśniają i dopełniają ogólną czasów charakterystykę. P. Orzechowski wydaniem tych wspomnień oddał prawdziwą przysługę naszej historji i literaturze. Autor skreśla nam w pierwszym tomie czasy porozbiorowe od r. 1808 do 1831. Są tu wiernie podane szczegóły o powstaniu szkoły Krzemienieckiej i charakterystyczny sąd o jej reformatorze, znakomitym koryfeuszu polskim, T. Czackim, któremu autor obszerniejszy ustęp poświęca. W jędrnym zarysie opowiada dalej autor czasy rozwoju szkoły Wileńskiej, szczegółowo rozwodzi się nad stanem ówczesnej edukacji, niemniej nad zręcznem prześladowaniem Aleksandra i jego wiernych ministrów. Najbardziej zajmującym jest ustęp o towarzystwie wolnych murarzy pod zwierzchnictwem słynnego naówczas profesora filologji Grodka, i opis obrzędu konsekrowania zwolenników tego zgromadzenia; przy końcu mamy zwięzły rys czasów powstania narodowego i przygód autora, jako naczelnego lekarza. Tom pierwszy zajmuje się przeważnie młodością autora i szkolnictwem, tom drugi czasami publicznego zawodu autora jako lekarza. Znajdujemy tu kilka rozpraw: w pierwszej „Lunatyczce" skreśla nam autor tajemnice lunatyzmu i somnabulizmu ze stanowiska nauki, popierając swoje uwagi licznemi przykładami z życia. Dalsze rozprawy są wierną illustracją groźnych wypadków powstania Warszawskiego, i stanu ówczesnych nauk, a koniec stanowi biografja autora skreślona przez wydawcę. — Odbywa tomy tych wspomnień przyjmujemy z prawdziwem zadowoleniem, gdyż wyświecają nam niejednę chwilę dziejowej katastrofy.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Dramat *Niewinni*, p. Wł. Okońskiego był po dwakroć przedstawiony na naszej scenie. W następnym numerze umieścimy jego ocenę. Dziś dla braku miejsce nie mogliśmy tego uczynić.

— Nawet niemieckie pismo fachowe „Magazin für die Literatur des Auslandes" uznało za stosowne dać p. A. Walewskiemu należytą odprawę za jego „Flozofię historji polskiej." Oto w nr. 44 z d. 30 października znaleźliśmy w tem piśmie obszerniejszy artykuł poświęcony tej książce, a kulminujący w orzeczeniu, że dzieło p. W. tak pod względem naukowem jak patriotycznym jest publikacją *skandaliczną*.

— Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego: „Hrabina Kosel" — „Brühl" — i „Z siedmioletniej wojny" które wyszły w „Bibliotece warszawskiej" — mają być teraz tłumaczone na język francuski i wyjdą w *Revue des Deux Mondes*. Powieści te obejmują czasy Augusta II i Augusta III.

— „Rys dziejów literatury polskiej" spisany według notat Aleksandra Zdanowicza i innych źródeł przez Leonarda Sowińskiego, wychodzi wprawdzie bardzo powoli, ale w przyszłym roku całe dzieło będzie z pewnością ukończone. Obecnie wyszedł tom drugi, obejmujący okres *czwarty*, od Stanisława Augusta do Mickiewicza. Kończy się on na „poecie przejścia" Kaźmierzu Brodzińskim. Tomy 3 i 4, zamykające całe dzieło będą poświęcone ostatnim czasom naszej literatury. Będzie to pierwsza historja literatury polskiej tak obszernie i wyczerpująco napisana.

— Wydawca warszawski Unger przygotował zupełną edycję dzieł Karola Szajnochy, która od nowego roku zacznie wychodzić w Warszawie. Tenże sam wydawca, postanowił wydawać seriami illustrowane arcydzieła literatury polskiej z działu poezji i belletrystyki. Większa część illustracyj wyjdzie z pod ołówka Audriollego. Na początek wybrano „Dęborogo" i „Pamiętniki kwestarza" a potem ma przyjść kolej na „Balladynę" i „Lillę Wenedę."

— Offenbach ukończył nową, jednoaktową operetkę pt: *Friquette*. Libretto jest dziełem pp. Deforges i Laurencin. Teatr paryski „Bouffes Parisiens" przedstawi wkrótce ten utwor.

— Rodzina Kaulbacha wystawiła w Monachjum muzeum, w którem znajdą pomieszczenie bądź utwory oryginalne, bądź kopje dzieł wielkiego mistrza.

— Najnowszy obraz J. Matejki „Śmierć Przemysława", o którego wystawieniu we Wiedniu, a potem w Krakowie donosiliśmy w naszem piśmie, został zakupiony przez biskupa chorwackiego ks. Strossmayera. Obraz ten będzie umieszczony w muzeum w Zagrzebiu.

— Aleksander Dumas dokończył właśnie nowej swojej sztuki, przeznaczonej dla Theatre français, w czasie letniego pobytu w Le Puys i wręczył ją dyrekcji powyższego teatru. Obecnie grzmi już reklama po wszystkich dziennikach.

Podróże.

— O podróży odbytej przez H. Stanleya przez wyżynę Afryki środkowej do wielkiego zbiornika Nilowego, jeziora Victoria Nyanza, nadeszły obecnie do *Daily Telegraph* szczegółowe wieści. Pokazuje się z nich, że Stanley na okręcie angielskim zbadał wschodnie i północne wybrzeża wielkiego jeziora, aż do miasta Mtesy nad Victoria Nilem. Tutaj powierzył francuskiemu oficerowi, należącemu do wyprawy pułkownika Gordona listy do Anglji, które jednak do miejsca jeszcze nie doszły. Oprócz tego otrzymał *Daily Telegraph* szczegółową mapę tej podróży. Wedle podania Stanleya jezioro Nyanza ma 230 mil angielskich długości a około 180 szerokości.

— Od J. M. Hildebrandta, znanego podróżnika po Afryce, nadeszły znowu wieści do Berlina. Zrobił on wycieczkę do grupy wysp Komorskich i najmniej znaną z nich wyspę św. Joanny, czyli Anjuani zbadał dokładnie. Opuściwszy te okolice z bogatym plonem naukowym, obecnie wybiera się, stosownie do dawno ułożonego planu, w główną podróż swoją we wnętrze Afryki. Wyruszy z Damu, najważniejszej z wysp Witui (2' 15' szerok. płdn.) i dotrze do okolic, o których już wyprawy Deckena i podróże Brennera niezmiernie ciekawe przyniosły wieści.

— Powołany przez Bismarka komitet w kwestji wypraw do bieguna północnego zakończył właśnie swoje prace. Oświadczył się jednogłośnie na podstawie dotychczasowych doświadczeń, przeciw dalszemu wysyłaniu wypraw do bieguna północnego. Natomiast zaproponował urządzenie stacyj obserwacyjnych na półkuli północnej i południowej, kosztem cesarstwa Niemieckiego, a jeśli możebna ze współudziałem innych narodów, a to dla dojrzałego wyrobienia planu przyszłych badań podbiegunowych.

Wynalazki.

— Na posiedzeniu Akademji nauk w Paryżu d. 5 października, p. Mouchot z Tour przedstawił aparat do ogrzewania za pomocą promieni słonecznych. W tym przyrządzie, w przeciągu 8 minut można ugotować 5 kwart wody. Wynalazca zastosował swój aparat w Tours na wielką skalę: oto promienie słoneczne poruszają tam za pomocą wywarzanej przez siebie pary wodnej, machinę o znacznej sile. Akademja wybrała osobną komisję, która ma zbadać ten ciekawy i pożyteczny wynalazek.

— Profesor Balestrieri w Neapolu, wynalazł nowy aparat, przyczyniający się w wysokim stopniu do potęgowania światła w latarniach morskich. Aparat składa się z wielkiej liczby łusek, zrobionych z polirowanego srebra lub miedzi. Światło jest tak silne, że płomień mający 7 centymetrów średnicy, oświetla w oddaleniu jednego kilometra tak doskonale każdy przedmiot, że można czytać książkę bez trudności.

Szkolnictwo.

— W Dreźnie założyła panna Halce wyższy instytut naukowy dla kobiet, który cieszy się już bardzo pięknem powodzeniem, gdyż liczy 225 słuchaczek. Pierwsi profesorowi stolicy udzielają w nim nauki. Z instytutem jest także połączona bardzo dobra szkoła malarstwa.

ROZMAITOŚCI.

— Z Australji donoszą o nader interesującym wypadku naturalizacji białego człowieka pomiędzy dzikimi. Siedmnaście lat temu francuski okręt "St. Paul" wiozący na pokładzie 327 robotników chińskich, rozbił się na rafach przy wyspie Rossel, należącej do archipelagu Luciadów a położonej na wschód od Nowej Gwinei. Chiń-

rzycy wylądowali na maleńką wysepkę i tam ich kapitan okrętu pozostawił na los szczęścia. Los ten był nader smutny i da się w kilku słowach opowiedzieć. Mieszkańcy owej wysepki byli ludożercami. Codzień wybierali sobie po dwóch najtłuściejszych z pomiędzy rozbitków i zjadali ich, — tak, że gdy po wielu miesiącach okręt wstąpił po nich, znalazł już tylko 17 przy życiu. Co do kapitana i załogi rozbitego okrętu, ci uratowali się na łodzi, — zdoławszy dobić do wybrzeży australskich. Tu wylądowali i udali się na poszukiwanie wody. Pomiędzy nimi znajdował się dwunastoletni chłopiec, nazwiskiem Narcyz Pelletier, pochodzący z St. Gilles pod Bordeaux. Skaleczywszy sobie mocno nogę przy przebywaniu skał, nie mógł reszcie towarzyszy dotrzymać kroku. Musieli go więc zostawić, a następnie zupełnie o nim zapomnieli. Opatrzyli się dopiero na morzu, że go nie ma, ale wracać już było niepodobna. Chłopiec zaginął bez śladu! W siedmnaście lat potem, 11 kwietnia rb. schooner „John Bell" dążący na połów wielorybów, stanął na kotwicy przy Night Island, małej wysepce, położonej na północnowschodniem wybrzeżu Queenslandu, i wysłał szalupę do wybrzeża dla nabrania wody. Niespodzianie wśród gęstwiny lasu odkryli majtkowie gromadę dzikich czarnych, pomiędzy którymi znajdował się biały człowiek — tak jednak nagi jak dzicy i z języka a obyczajów zapełnie do nich podobny. Skoro doniesiono o tem patronowi „John Bell'a" ten postanowił spróbować, czy się nie da uwolnić białego i w tym celu wysłał na ląd znaczną ilość towarów, aby skłonić tuziemców do wydania za ich cenę swego jeńca, czy gościa. Na nic się to jednak nie zdało. Białego dzikusa zmuszono wejść do łodzi, gdzie dano mu suchar i nakazano siedzieć spokojnie, jednocześnie powstrzymując chcących go bronić tuziemców, bronią palną. Czarni nie chcieli żadną miarą oddalić się bez swego towarzysza. Błagali go z płaczem, ażeby szedł z nimi, — on także się wydzierał; gdy jednak majtkowie groźnie się zademonstrowali — przerażeni dzicy uciekli, zostawiając białego towarzysza w rękach Europejczyków. Przeniesiony na pokład „John Bella" dostał się on do Somerset, osady na kap York, gdzie go odziano i przedstawiono prezydentowi magistratu, p. Aplinowi. Z początku nic nie można było z niego dobyć. Odurzony był i pomięszany. Całemi dniami siedział na trawie, w ogrodzeniu swego mieszkania, niespokojnie się oglądając na okół, patrząc na wszystko osłupiałym wzrokiem i zrzadka tylko przerywając milczenie. Nareszcie z kilku oderwanych słów dowiedziano się, że jest Francuzem. Żądał papieru — a gdy mu go podano sztywnemi wielkiemi literami napisał swoje nazwisko i kilka niezrozumiałych zdań. Był to ów pozostawiony na wysepce przed siedmnastu laty chłopiec Narcyz Pelletier. Porucznik Connox, mówiący płynnie po francusku, zdołał wreszcie po tysiącznych trudach wyciągnąć z niego opowiadanie o przebytych przygodach. Rzecz się tak miała: Zapomniany przez załogę rozbitego okrętu trzy dni błąkał się samotnie po wybrzeżu. Czwartego zasnąwszy pod drzewem, został zbudzony lekkim szelestem. Pięciu murzynów: trzech mężczyzn i dwie kobiety otaczało go. Na twarzach ich i w ruchach był widoczny wyraz współczucia i podziwienia. Dali mu nieco pożywienia i zawiedli go uprzejmie do swego siedliska, kędy reszta mieszkańców również przyjaźnie go powitała. Został członkiem pokolenia i przyjął sposób życia dzikich, który wedle opowiadania jego, jest nader pierwotny. Dachu i ubioru nie znają wcale; tylko kobiety noszą wąski pas z frędzlami w około bioder. Pożywienie ich stanowią wyłącznie prawie ryby — łowione zręcznie za pomocą dzid i harpunów — oraz owoce i niektóre zwierzęta. Używają ognia do gotowania, dobywając go przez tarcie drzewa o drzewo. Jedyną ozdobą ich są nacięcia, które czynią na ciele, powtarzając tę operację tak często, aż uformują się blizny wyraziste i korkowato twarde. Pięć lub sześć takich nacięć do dziesięciu cali długich a do sześciu szerokich po obu stronach piersi, — „zdobi" każdego tuziemca Oprócz tego noszą w prawem uchu duże kawałki drzewa, i takież same, wielkości zwyczajnego ołówka, w nosie. Zresztą nie szpecą niczem więcej swego ciała. Włos, który mają prosty i gładki, — noszą krótko. Nacięcia kobiet różnią się tylko „rysunkiem" od męzkich. W czasie niepogody robią sobie schronienia z kawałków kory i gałęzi; o budowie chat jednak nie mają najmniejszego pojęcia. Rzadko pozostają długo na jednem miejscu. Nie używają żadnych narzędzi kamiennych; broń ich i harpuny zaopatrzone są w żelazne ostrza. Język o ile ze stu mniej więcej słów, spisanych za dyktandem Pelletiera osądzić można — nie ma nic wspólnego z narzeczami malajskiemi, ani z którymkolwiek bądź ze znanych języków papuaskich. Odznacza się obfitością nosowych dźwięków. Rachować nie umieją i nie mają zgoła słów na oznaczenie liczb. Stosunki pomiędzy obiema płciami u nich, są podobne raczej do zwierzęcych niż do ludzkich. Silniejszy pojmuje trzy lub cztery kobiety naraz — a walki o ich posiadanie są na porządku dziennym. Jeżeli mężczyzna ma jakikolwiek powód do niezadowolenia z kobiety, przebija ją po prostu dzidą — i rzecz skończona. Pomimo to jednak nie znajdziesz u tego plemienia ani ludożerstwa ani mordowania dzieci, owszem, wedle twierdzenia Pelletiera ma to być lud nader dobrotliwy, któryby każdego białego — bez broni — najuprzejmiej przyjął. Jakiejkolwiek religji lub pojęcia o świecie niewidzialnym nie spotkać u nich ani śladu. Pelletier — jak łatwo pojąć — stał się żywem „curiosum." Obecnie oddano go francuskiemu konsulowi w Sydney, który go niewątpliwie odeszle do Europy. Jaki będzie los jego przyszły — trudno zgadnąć, — to tylko pewna, że jeżeli ma szukać karjery w świecie cywilizowanym, musi najprzód z gruntu inne wychowanie otrzymać.

— W jednym z dzienników Paryskich znajduje się następująca wiadomość: W hotelu de Louvre mieszka obecnie pewien angielski dżentelmen, spłacający w osobliwy sposób zakład, który niedawno przegrał. Pan Walker, (tak się nazywa ten Anglik) założył się z jednym z ziomków swoich, znanym sportsmanem Sir James Keard, o wyższość swego szkockiego charta w biegu, nad podobnym chartem Sir Kearda. Wygrywającemu przysługiwało prawo nałożenia, jakich chce warunków na przegrywającego. Otóż pies p. Walkera przegrał i jego właściciel otrzymał następujące warunki spłaty przegranej: Kazano mu pojechać do Paryża i tam co rano przez ciąg całego miesiąca czatować na pierwszego jegomości, który z uderzeniem dziewiątej wyjdzie z ulicy Valois na plac Palais Royal. Ku temu ma podbiedz, uściskać go, wołając jednocześnie wzruszonym głosem; Mój bracie, mój najdroższy bracie. Po dwudziestu latach nie widzenia znajduję cię wreszcie!... a potem przeprosić za pomyłkę. Od czternastu dni wykonywa już pan Walker nałożony nań obowiązek jak najsumienniej — dotąd jednak otrzymał już dwa policzki i parę ciosów pięściami. Kto mu chce dobrotliwie ciężkie to zadanie ułatwić, niech się łaskawie stawi o powyższej godzinie na oznaczonem miejscu.

— Wedle wiadomości nadesłanych do dzienników angielskich, nowo zamianowany angielski nauczyciel młodego Nizama, władcy Hajdera kraju w Indjach, ma ciężki orzech do zgryzienia ze swoim królewskim pupilem, wychowanym widocznie w bałwochwalnej czci dla wschodniej etykiety. Gdy nauczyciel i uczeń weszli po raz pierwszy razem do sali nauki, uparł się młody Nizam, aby Clarke (tak się nazywa nauczyciel) zdjął buty przy drzwiach. Opór tego ostatniego wywołał gwałtowny wybuch gniewu u wychowańca, tak że zaledwie udobruchać go zdołał nauczyciel przez zręczne zajęcie go bilardem, ruletką i innemi podobnemi rozrywkami. Środek ten usposobił tak dobrze małego despotę, iż nie tylko na punkcie zdejmowania obówia stał się pobłażliwszym, ale nawet raczył dosyć chętnie przyjąć pierwszą lekcję angielskiego abecadła. Wkrótce jednak Clarke znowu ciężko zgrzeszył: ośmielił się mianowicie napić ze srebrnej czary, której tylko nizamowym wargom dotknąć się było wolno. Przerażająca o tem wiadomość rozeszła się w mgnieniu oka po całym pałacu; zgroza zapanowała w kobiecych komnatach na takie świętokradztwo. Sprofanowaną czarę co prędzej rozbito i angielskiemu rezydentowi posłano notę o tym straszliwym wypadku. Chłód z jakim ambasador przyjął tę ważną wiadomość, bardzo złe wywołał wrażenie w kobiecych komnatach. Wkrótce potem znalazł się nowy kamień obrazy, na szczęście przez głęboką mądrość jednego z doradców królewskich usunięty. A mianowicie urzędnicy pałacowi mieli obowiązek czczenia Clarkego tytułem honorowym „Sahib." I młodego Nizama wezwano, aby tej samej nazwy względem swego nauczyciela używał. Takiego sromu nie mógł znieść mały satrapa! Być zrównanym z urzędnikiem... nigdy!... Ażeby więc to zawikłanie rozwiązać, zeszli się mędrcy całego kraju i nadali panu Clarke nowy tytuł „Mustafin-dschungistaha-kam-uddoula-Bahadur" do specjalnego użytku młodego księcia. Clarke dotąd jednakże właściwego znaczenia tej nazwy honorowej nie mógł się dowiedzieć — a spamiętać jej — nawet nie próbował.

— „Neues Wiener Abendblatt" doniósł w numerze piątkowym z przeszłego tygodnia o tragicznej śmierci na polowaniu młodego Zeppezauera z Glognitz. Tymczasem obecnie pokazuje się, że pod tym dosyć zwykłym wypadkiem ukrywa się krwawy i wzruszający dramat. Zeppezauer, syn wdowy i spadkobierca około 120.000 złr. majątku, zakochał się w czasie pobytu na letniem mieszkaniu w Paulinie Siebert, pannie starszej od niego o lat kilka i zupełnie ubogiej, znanej mu jednak od dziecięcych lat i której ojciec żył z ojcem jego w przyjaźni. Pragnąc się z nią połączyć, a napotkawszy pod tym względem na gwałtowny opór w matce swojej, namówił ukochaną swoją do ucieczki do Glognitz, i tu w zapędzie rozpaczy, nie widząc wyjścia z tak okropnej sytuacji, postanowił z nią razem życie zakończyć. Scena ta śmiertelna odbyła się w lasku nad drogą. Nieszczęsny młodzieniec zaproponował kochance, ażeby sama odebrała sobie życie z sześciostrzałowego rewolweru, który jej podawał. Gdy ona jednak, chętnie pragnąc z nim umrzeć, ale nie mając odwagi do zadania sobie śmiertelnego ciosu, jęła go prosić, aby jej pomógł — w obłędzie strzelił do niej a następnie strzelił do siebie. Jego rana była śmiertelną. Dziewczyna zaś, upadając zwróciła jego uwagę że ją źle trafił — widząc zaś że jej już nie słyszy, zerwała się z miejsca resztką sił i powlokła do najbliższych domów. Zjechali się zwołani telegrafem krewni i matki obojga nieszczęśliwych. Ratunek był próżny. Młodzieńca zastano już trupem. Dziewczyna w dzień potem umarła. Miała to być łagodna, szlachetna, godniejsza lepszej doli istota.

— W zwierzyńcu berlińskim, niedawno pewien prostoduszny obywatel z prowincji, z ciekawością przypatrywał się klatce z małpami, gdy nagle uczuł na nosie obcą dłoń, a jednocześnie zniknęły mu z przed oczu jego złote okulary. Nikogo właśnie w tem miejscu nie było oprócz naszego amatora małp; rzecz prosta przeto, że doznał on nie małego zdziwienia, gdy rozglądając się w około, nigdzie nawet śladu sprawcy odkryć nie zdołał. Po chwili dopiero nadszedł dozorca małp i wskazał zakłopotanemu po stracie okularów jegomości małpę, która nad jego głową, na drzewie, właśnie zajęta była wsadzaniem sobie na nos skradzionych okularów, przyczem pogięła je na nic. Po raz już czwarty małpa ta wypłatała takiego figla zwidzającym zwierzyniec.

— Wielkie niebezpieczeństwo zagraża miastu Caub, położonemu nad Renem, z powodu ciągłego usuwania się pobliskiej góry. Niedawno skutkiem trzęsienia ziemi w tej okolicy zniknęło zupełnie źródło, które wytryskało na stoku góry; od tego czasu wielki klin skalny usuwa się z wzrastającą szybkością. Usuwający się prosto na miasto obszar obejmuje sześć morgów powierzchni. Rząd niemiecki przeznaczył sumę 135.000 mark na roboty około zabezpieczenia miasta od zagrażającej mu katastrofy.

Odpowiedzi Redakcji.

Obraz „Zygmunt i Barbara" jest wyczerpany, i dopiero za kilka dni przyjdzie nowy transport, poczem rozpocznie się rozsyłka dla tych prenumeratorów, którzy go dotąd nie otrzymali.

Treść Nr. 45.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).